ROKOSSOWSKI POD STALINGRADEM (patrz strona 3)

POKÓJ ZWYCIĘŻA

ODRODZENIE

TYGODNIK

Cena 25 zł | Warszawa, dnia 27 listopada 1949 r. | Rok VI Nr 48 (261)

Zygmunt Gemski — Rytm pracy

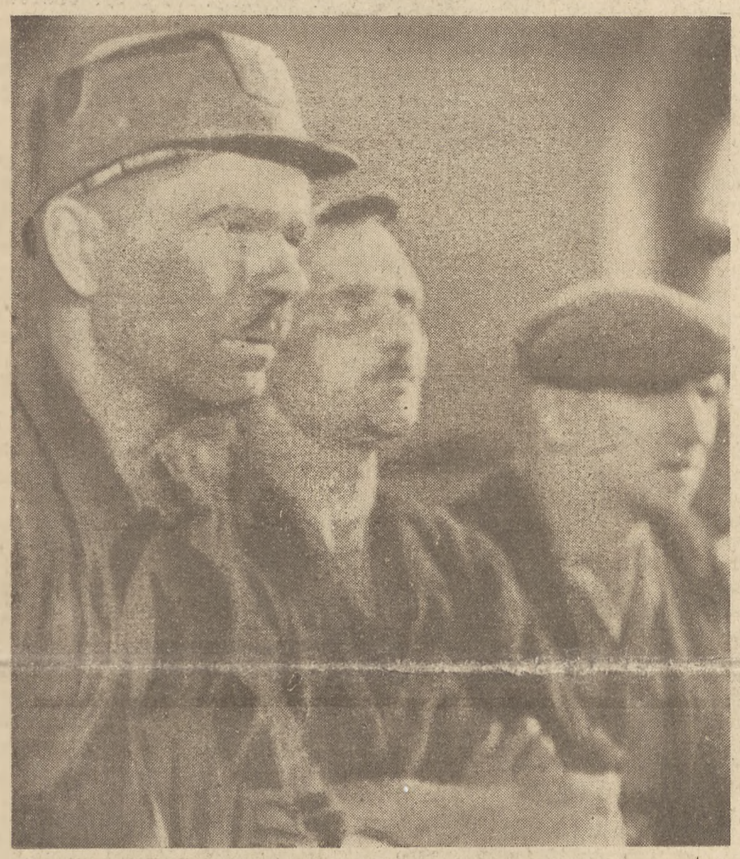

Maksymilian Wrocławski — Narada produkcyjna na kopalni

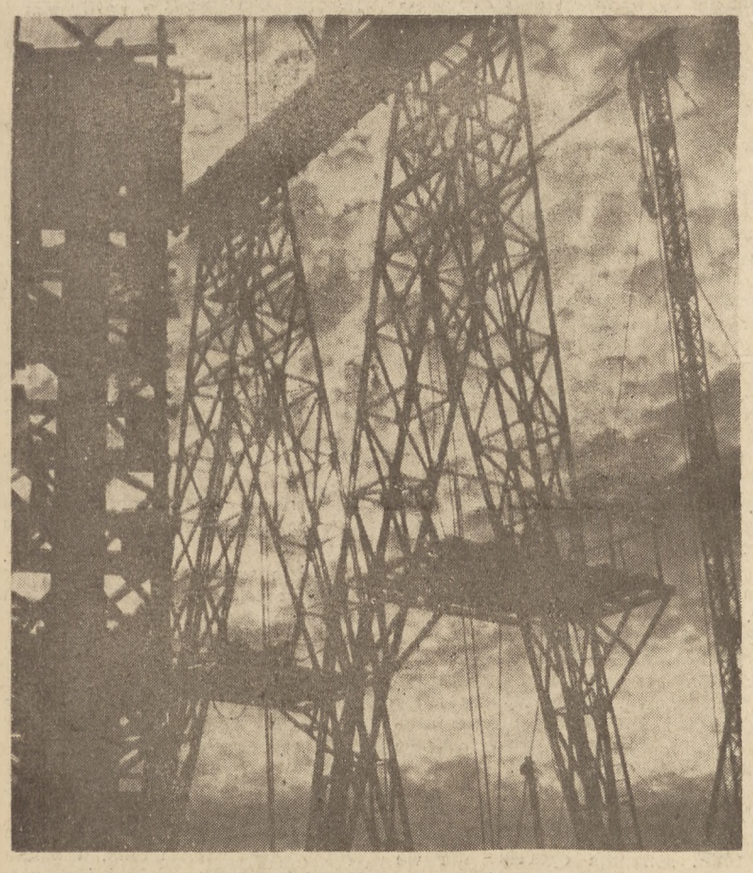

Jan Bułhak — Symbol pracy pokojowej

Janusz Bułhak — ZOR

JERZY BOREJSZA

Po plenum listopadowym KC PZPR

LUDZIE ZA MGŁĄ

I

WSTĘP

KONIEC MASKARADY

W styczniu 1947 r. ze sceny, a raczej scenki teatrzyku politycznego w Polsce zeszła trzeciorzędna figura, primadonna jednego sezonu — Stanisław Mikołajczyk, aby okazać się kukiełką, którą pociągał za sznurek będący na usługach Bliss-Lane'a Cavendish - Bentinck. Jak pamiętamy, w przekonaniu niektórych histerycznych szczurów drobnomieszczańskich odejście i dość groteskowa ucieczka tego kandydata na „wodza narodu" miały spowodować co najmniej trzęsienie ziemi — tak jak odrzucenie „pomocy" angloamerykańskiej miało być katastrofą gospodarczą. Tylko wjazd na białym koniu mesjasza Andersa mógł wyzwolić fabrykancko-obszarniczy naród spod dyktatury robotniczo-chłopskiego narodu.

Jak wiadomo, trzęsienia ziemi nie było; nad losem osobistym Mikołajczyka kilka pań uroniło łezkę, koń Andersa ugrzązł w knajpie londyńskiej. A tymczasem (bez pomocy amerykańskiej) plan trzyletni został wykonany w dwa lata i 10 miesięcy, w rezultacie zaś uprzemysłowienia kraju klasa robotnicza z 18,2 proc. ludności w roku 1938 wzrosła do 35,9 proc. w 1949 r. Do tego spotkało anglosaskich „opiekunów" Polski jeszcze jedno rozczarowanie— zniknął bezrobotni, spośród których czasem można było werbować lumpów do band. Co prawda bezojczyźniany Mikołajczyk jest bezrobotny — lecz zagranicznymi lumpami zajmuje się Mr. Truman u siebie na miejscu.

Na deskach realnego teatru krajów demokracji ludowej od ubiegłego roku jesteśmy świadkami zupełnie innego widowiska.

Zanim przejdziemy do charakteryzowania go, trzeba zaznaczyć, że tylko nieukom, kibicom, czy recenzentom wolno mieszać rodzaje ról i typy teatrów. Niech nikt nie zestawia rozprawy ze śmiesznym agencikiem z PSL ze sprawami ruchu robotniczego. Aby tego uniknąć niech nam wolno będzie zacytować następujące uwagi wielkiej aktorki polskiej:

„Duża rola nazywa się w teatrze „kobyła". Mała rola nazywa się „ogon". Zagrać rolę źle: „rozłożyć się", „rozłożona rola". „Kreacją" nazywamy *(tylko i wyłącznie)* rolę bezbłędnie wykonaną. Co to znaczy bezbłędnie wykonać? Dać maksimum prawdy."

I dalej:

„Na to, aby coś ocenić krytycznie — trzeba coś *rozumieć*. U nas ciągle odnosi się wrażenie, że zarówno ludzie piszący, jak czytający recenzje zbyt mało rozumieją. Co gorsza, ten brak wiadomości nie wytwarza u nich: 1) głodu wiedzy i 2) pokory wobec sztuki. I właśnie ci najchętniej szafują wyrokami i przylepiają etykiety ludziom twórczym".

I tak, w wielkim teatrze realnych przemian trzeba coś rozumieć i coś wiedzieć.

Niestety, nie cała nasza inteligencja czerpie swe soki z klasy robotniczej i dlatego jej część silniej związana z drobnomieszczaństwem mało co rozumie z wielkich widowisk dziejowych, nie odczuwając przy tym głodu wiedzy politycznej.

Poniższe uwagi — to recenzja z najciekawszego teatru rzeczywistości, jaki stanowią przemiany i walka w krajach demokracji ludowej w ostatnim roku. Nie jest to recenzja przeznaczona dla tych, którzy zrozumieli istotę zachodzących zjawisk. Wszystko świadczy bowiem o tym, że zdrowy instynkt klasowy klasy robotniczej ochronił ją od mętniactwa drobnomieszczańskiej części inteligencji. Nie jest ta recenzja również przeznaczona dla wrogów, którzy tu i ówdzie uprawiali i uprawiają maskaradę ideologiczną, która już dzisiaj kończy się dzięki wzrostowi czujności.

Uwagi nasze są przeznaczone dla tych kół inteligencji, które wskutek analfabetyzmu politycznego, nie rozumiejąc biegu spraw, które się toczą, na miarę własnej naiwności oceniają poczynania świata imperialistycznego.

A objawem takiej właśnie naiwności jest brak oceny odmiennych metod działania różnych działaczy politycznych, gorzej: brak zrozumienia różnych „teatrów" i różnych „aktorów", a nade wszystko różnicy między teatrem a maskaradą.

Odrzucić należy prostackie utożsamianie różnych „teatrów" i różnych „aktorów" — wobec tego, że jest nader istotna różnica między metodami polityków typu Michajłowicza, a typu Tito. Na wyższych szczeblach aktorstwa metody się doskonalą — choć istota roli pozostaje bez zmiany.

Korespondent pisma „New York Times" C. L. Sulzberger tak po prostu wyjaśnia tę różnicę:

„Ruch antyczerwony w Europie zrodził przedziwne sojusze. Nowe koalicje szukają oparcia na lewicy, ażeby zwabić robotników do swojego obozu... Stopniowy rozwój frontów antykomunistycznych w Europie pociąga za sobą ciekawe kombinacje ideologiczne i dziwne idylle polityczne. Prawie wszystkie ważkie koalicje polityczne w krajach, które mają nadzieję otrzymania pomocy planu Marshalla czynią największe wysiłki, aby zasłonić się lewicą i aby ukazać się w pewnej mierze jako lewica, aby w ten sposób otrzymać pomoc robotników i uniknąć etykiety reakcjonistów".

Dziennikarz - papla odsłonił tajemnicę maskarady. W pierwszym okresie po wojnie reżyserom imperialistycznym zdawało się, że w mgle powojennej wystarczą ludzie typu Mikołajczyków. Bardzo szybko okazało się to niewystarczające — trzeba było sięgnąć po rezerwę drugą, trzeba było rozpocząć grę garniturem ludzi ulokowanym wewnątrz rosnącego ruchu robotniczego, ludzi do tej roli albo przeznaczonych zawczasu, agentów maskujących się świadomie, albo megalomanów zapatrzonych w siebie, dających się łatwo do tej roli sprowadzić. Niewątpliwie nie jest rzeczą obojętną czy ktoś jest świadomym, czy nieświadomym szkodnikiem w ruchu robotniczym, mimo że niezależnie od intencji — skutki szkodnictwa bywają często te same. Jednak tak zwany „dramat osobisty" szkodnika jest może ciekawy dla smakoszów analiz psychologicznych i dla neuropatologów — historia pędząca milowymi krokami naprzód, zostawi to peckanie się w psychoanalizie na okres po zwycięstwie socjalizmu. Jeśli nie będzie miała czegoś ciekawszego do roboty.

Najbardziej istotną sprawą naszej epoki jest wykreślenie jedynej słusznej linii podziału, przyjęcie jednego sprawdzianu postępowania; wszystko, co sprzyja zwycięstwu socjalizmu, sprzyja rozwojowi człowieka, prawdziwemu, niekłamanemu i zdrowemu humanizmowi. Wszystko, co opóźnia zwycięstwo socjalizmu, zwycięstwo pokoju i poszanowania życia milionów ludzi — powinno być całkowicie usunięte. Nie ma rzeczy pośrednich.

Zanim jednakowoż przejdziemy do istoty spraw, należałoby odpowiedzieć na kilka natarczywie powtarzających się — acz śmiesznych — zapytań, podyktowanych rzekomym humanizmem i typową krótkowzrocznością, chwytającą się zawsze spraw drobnych.

Po pierwsze: Twierdzą ci rzekomi humaniści, że można tego czy tamtego ugłaskać, że krzywdzi się i obraża ludzi, stawiając im publicznie zarzuty, oskarżając itd., podczas gdy oni mieli jak najlepsze chęci. Ba! Sami nosiciele prawicowego i nacjonalistycznego odchylenia, zamiast przyjmować walkę na udeptanej ziemi argumentów, potrafią mówić tylko o swoich urazach osobistych: „Ten powiedział, że ja jestem olbrzym, który upadł i jest śmieszny. A tamten powiedział tej i tamtej itd.". Szkoda słów na odpowiedź! Niewątpliwie ta bebechomania napęczniałych ambicji, obolałych prestiżów — to zastępowanie poważnej, zasadniczej argumentacji odpieraniem jakichś plotek — jest chronicznym schorzeniem pewnych grupek w ruchu robotniczym, które zjawia się zawsze, gdy ruch rewolucyjny bije we wrogą postawę prawicy i oportunistów.

Tak np. w 1903 roku, w opowiadaniu Lenina o drugim zjeździe rosyjskiej partii socjalistycznej, na którym stoczono walkę z prawicą, czytamy: „... subiektywne oceny (w rodzaju krzywdy, obrazy, wypychania, odsuwania, piętnowania itd., itd.) *są owocem urażonej ambicji i chorej fantazji.*

Ta chora fantazja i urażona ambicja prowadzą wprost do najbardziej haniebnych *plotek...*" (Lenin tom VII, str. 18).

Stalin w swojej mowie na XII Konferencji Partii dnia 17 stycznia 1924 roku mówi o takich, którzy powtarzają:

„Wszystko u was jest słuszne, ale wy troszeczkę spóźniliście się, należało to wszystko wcześniej uczynić. Nie podnoszę tu sprawy, kto kogo obraża. Sądzę, że jeśli się dobrze przyjrzeć, może okazać się, że znane powiedzenie o Tit Titiczu dostatecznie blisko dotyczy Trockiego: „Kto Ciebie, Tit Titicz, obrazi? Ty sam każdego obrażasz" *(śmiech)*. Ale powiedziałem, że ja tej sprawy podnosić nie będę. Nawet przypuszczam, że Trockiego ktoś tam naprawdę obraża. Ale czyż o to chodzi? Cóż zasadniczego jest w sprawie obrazy? Przecież sprawa dotyczy zasadniczej strony rezolucji, a nie tego kto kogo obraził". (Stalin — T. VI. str. 6).

Byliśmy świadkami tego, jak prasa Tito, maskując sprawy zasadniczych różnic, maskując siebie — aż do czasu kiedy proces Rajka położył kres maskaradzie, na plan pierwszy wysuwała sprawy jakichś urazów, pępkomanię prestiżową. Tu również efekt chowania się za osobiste obolałości był obliczony na psychologię ludzi, błądzących we mgle naiwnej drobnomieszczańskiej ideologii. Ale wychowanków partii proletariatu nie może wzruszać melodramat jednostki wówczas gdy w grę wchodzi historyczny dramat walki klas, mający zadecydować o szczęściu ludów całego świata. Krzywda partii jest nieporównanie ważniejsza, aniżeli urojone krzywdy jakichś klik czy grupki. A

(Dokończenie na stronie drugiej)

TADEUSZ URGACZ

Gawęda na moście Poniatowskiego

Na moście stare dzieje, chociaż to most nowy,
choć tylko jedna gwiazda drży w gardziołku wody,
lecz wystarcza zupełnie starym robotnikom,
którzy jadąc na Grochów przez most
jadą w przyszłość.

Majster puścił dymu pękatą jaskółkę —
„ho, ho, panie, kiedy na ten most się patrzy
aż pamięć boli — przecież ze mną go budował
Rokossowski, młody kamieniarz warszawski.

Stare dzieje,
potem chłopak wsiąkł jak wiosna
— stary śni i puszcza dymu aeroplan —
gdzieś go liznął a zdrowo rewolucji uśmiech,
przysłoniły go liście czasu oraz ludzie.

Ja — tu majster zakaszlał — co wieczór
jadąc, myślę, że spotkam go sprzed lat trzydziestu
z błyskiem uśmiechu na młodzieńczej twarzy
pierwszego już z warszawskich kamieniarzy.

Meldunek

Ci, co kochają wiek benzyny,
którym epoka maszyn służy,
ci, co kąpiele biorą w węglu,
dla których zlinczowany Murzyn
ma oczy brata, ciało brata —
ci, co się zbroją w gąsienice
traktorów, w ryk ich, w śpiewki zboża
a w nocy z troską w oczach liczą
serca nieskąpe arsenały
z dumną pokoju amunicją,
dla których uśmiech miał serdeczny
Lenin —
ci w Polsce dzierżą front,
i odpowiedzą, odpowiedzą
półkolem śmiechu, łutem wzgardy
na nienawiści trupi trąd.

Ci się meldują w twoje ręce
Marszałku Rzeczypospolitej —
nie będzie nigdy pluł nam w twarz
imperializmu drań i hycel.

I choć za wodą gdzieś bezludną
po nowojorsku, po bankiersku
zamawia wojnę ktoś
jak codzień
zamawia tłusty sznycel z wódką —
najprostszy ciura, nie Achilles,
lecz ulepiony z polskiej gliny
da serce, że pod Rokossowskim
w wojnie o pokój zwyciężymy.

Ci, co kochają smak pokoju,
żołnierze stu o pokój bitew
meldują się na twoje ręce
Marszałku Rzeczypospolitej.

Niech pozdrowione będzie Wojsko,
niech pozdrowiona będzie Armia
za to, że ludzie chodząc prosto
spokojnie chłoną witaminy,
że w puklach wiatru się rozpina
zieleni wieczna ondulacja,
niech pozdrowione będzie Wojsko
niech pozdrowiona będzie Armia.

SIEMION KIRSANOW

STALINGRAD

W Stalingradzie kula zraniła żołnierza;
Do sanitariuszki zawołał: —Nie trzeba!

I powiedział: — Ja nie chcę żadnego szpitala... —
Z automatu zza muru znowu wypalił.

Dziewczyna z torby ciągnie długą wstęgę bieli,
bandaż chce mu założyć, a chłopiec znów strzela.

Ona gazę do rany na czole przykłada.
Od wybuchu ciężkiego dom zadrżał w posadach.

I ją także zraniła kula zabłąkana,
lecz chce żołnierzowi bandażować ranę.

Seria serię goni... Chwilę, jeszcze plaster! —
I Niemcom sił nie starczy, by zdobyć to miasto.

1943 r.

przełożył Marian L. Bielicki

JERZY GRYGOLUNAS

LABĘDZIE JEZIORO

Przed wielką halę magazynu w Nowym Porcie co pięć minut zajeżdżały taksówki. Wysiadały z nich eleganckie, opalone kobiety, w długich, barwnych, malowanych w wielkie kwiaty sukienkach. Towarzyszyli im młodzieńcy w sportowych bluzach i welwetowych marynarkach. Podawali z elegancją rękę, a chwilę później papierosy. Z drugiej strony, na lewo, ciągnął przyprószony kurzem tłum ludzi. Tramwaje przeciskały się, ostro dzwoniąc na każdym metrze. Szły kobiety i mężczyźni z Gdańska i Wrzeszcza, a ogon tej wielkiej procesji okręcał się jeszcze przez pół godziny dookoła domów Nowego Portu.

O godzinie pierwszej, stojący przy wejściu podwójny rząd błękitnobluzych milicjantów zwinął się do środka i chwilę później zatrzaśnięto wszystkie drzwi olbrzymiej, wysokiej i ciemnej hali.

Pięć tysięcy ludzi zamkniętych w dusznym i gorącym powietrzu czekało na taniec Akademickiego Teatru Radzieckiego z Moskwy. Siedzieli na ławkach, stali pod ścianami, a kilkudziesięciu śmiałków umieściło się na długich belkach pułapu.

Koło mnie stało wypomadowane i barwne jak tapeta towarzystwo z Sopot. Co chwila stłoczony przy drzwiach tłum wyciągał do góry szyje i falował w naszym kierunku. Wtedy kobieta, która napierała na mnie nagrzanym i wyperfumowanym ciałem odzywała się do swego mężczyzny.

— Cóż za chamstwo. Pomyśl Piotr? Co za brak organizacji!

Wysoki, szpakowaty mężczyzna trzymał nad głową turystyczną laskę. Odpowiadał jej, lekko sepleniąc.

— Rzeczywiście, koteczku. Cóż za brak organizacji.

Kobieta przedrzeźniała go rozdrażniona.

— Rzeczywiście koteczku! Rzeczywiście koteczku. Ale my mamy bilety. Bilety po 600 złotych.

Wtedy dystyngowany mężczyzna przecierał chusteczką zroszone czoło.

— Nie denerwuj się maleńka. Chciałaś przecież zobaczyć. Któż mógł przewidzieć, że w ostatniej chwili w tej budzie zrobią bezpłatny występ dla hołoty.

Ludzie niecierpliwili się. Pan z laseczką odpłynął poniesiony przez rozfalowaną publiczność bliżej wnęki dla orkiestry. W pewnej chwili megafony poprosiły o ciszę. Na scenę wyszedł kierownik artystyczny baletu i w języku rosyjskim przywitał widownię. Mówił: „Cieszymy się, że możemy występować w Polsce dla mas pracujących". Po hucznych oklaskach wycofał się swoim szarym ubraniem poza krąg reflektorów. Orkiestra poprawiła się na miejscach. Na salę wybiegła muzyka Piotra Czajkowskiego, a chwilę później z dwóch stron czarnej kotary białe kostiumy baletnic.

Patrzyłem na twarze ludzi. Szczególnie zainteresowała mnie towarzyszka szpakowatego pana, która ostatecznie uwolniła moje plecy od gorącego uścisku i przesunęła się bliżej ławek, twarz chłopca w mundurku „SP" oraz mężczyzna w roboczym kombinezonie.

Kobieta sunęła powolnym wzrokiem jak objedzony wąż, za zmieniającymi się postaciami tancerek. Nieraz przerzucała go poza linię sceny i zatrzymywała na zawieszonych pod sufitem żołnierzach. Uśmiechała się, kiedy wypłynął poruszający biało-czarnymi skrzydłami łabędź, kochanek białej łabędzicy, ale urok łabędziego jeziora pryskał natychmiast, kiedy zatrzymywała oczy na pięknie skręconych włosach sąsiada z prawej strony. Rzucała na niego szybkie spojrzenia, a później znów uśmiechała się do Lepieszyńskiej, śledząc jej wirujące nogi. W pewnej chwili wyjęła z torebki puderniczkę i wprawnymi ruchami przyprószyła sobie nos i okolicę oczu.

Chłopiec stał pod drewnianym filarem. Miał usta lekko otwarte i ani razu w ciągu pół godziny nie oderwał oczu od sceny. Byłem pewny, że widzi balet pierwszy raz. Zupełnie wyraźnie muzyka działała na niego jak dźwięki piszczałki hinduskiego fakira na zahipnotyzowanego węża. Od czasu do czasu obcierał dłonią pot z czoła, nie trudząc się na wyjęcie chusteczki. Po skończonym występie, kiedy łabędzice odpłynęły i jezioro zostało milczącym świadkiem tragedii olbrzymiego łabędzia, chłopiec w mundurku „SP" bił brawo chyba najdłużej ze wszystkich.

Mężczyzna w roboczym kombinezonie początkowo dłubał kostropatym palcem po zrytym ospą nosie. Po kilku minutach opuścił rękę na biodro i nerwowo przełykał ślinę. On też na pewno jak junak z „SP" pierwszy raz widział klasyczny balet i słyszał symfoniczną muzykę, bo dotychczas dotarły do jego stoczni jedynie dźwięki orkiestry marynarskiej. Miał wielkie i mądre oczy. I wydawało mi się, że kiedy klaskał w swoje twarde, mocne dłonie, oczy jego płonęły.

Muzyka umilkła. Ludzie zaczęli szeptać pomiędzy sobą. Było duszno. Otworzono drzwi na dwór. Kobieta wachlowała się chusteczką. Chłopiec z „SP" rozluźnił pasek u spodni i dalej wpatrywał się w scenę. Mężczyzna w kombinezonie z uznaniem kiwał głową, a jego towarzysz, niski człowiek o spłaszczonym nosie miarowo mu potakiwał. Towarzystwo z Sopotu skarżyło się, że w takim tłumie nie ma nawet gdzie zapalić papierosa.

Po dziesięciu minutach zamknięto drzwi do hali. Reflektory zabłysły. Na scenę wyszedł łysy robotnik zakładów portowych, ubrany w brązową bluzę. Obejrzał niepewnie otaczającą go przestrzeń i skinął na skuloną trwożliwie dziewczynkę w czerwonej kokardzie. Za nim kroczył kierownik artystyczny Radzieckiego Baletu. Stanął nieco z boku, profilem do widowni. Robotnik skinął ponownie na dziewczynkę. Podbiegła drobniutkim kroczkiem i szybko podała róże kierownikowi. Potem wycofała się przerażona, trochę bokiem jak kulawy, młodziutki rak. Robotnik przygładził nieistniejącą na głowie kępkę włosów i posunął się bliżej wniesionego przez dwóch marynarzy mikrofonu. Wyjął z kieszeni kawałek papieru, chrząknął i zaczął powoli czytać:

„Dzisiaj my, robotnicy portowi obchodzimy wielkie święto. Nasi goście radzieccy zechcieli do nas przyjechać. Jest to jeszcze jeden dowód naszej wielkiej przyjaźni, poczętej we wspólnych walkach z faszystami hitlerowskimi. Artystów Baletu Radzieckiego witamy serdecznie w naszym porcie. Jest to balet wielki. Jest to balet, który...

Na chwilę oderwał wzrok od kartki, na której miał napisane przemówienie i spojrzał na widownię. Zobaczył morze głów. Tysiące oczów wpatrzonych w siebie. Pięć tysięcy oczów śledzących każdy ruch jego warg. Nie miał odwagi zajrzeć do swojej kartki. Próbował coś powiedzieć jeszcze, ale nic nie mogło przecisnąć się przez jego zaciśnięte gardło.

Nie widziałem wyrazu jego oczu. Ale wiedziałem, że kryje się w nich przerażenie. Wielki wstyd, że skompromitował swoich kolegów, którzy dzisiaj rano powierzyli mu honorową misję — podziękowanie artystom radzieckim za ich gościnne występy dla robotników portowych.

Kiedy robotnik milczał już dłużej niż pół minuty, kobieta, która na początku spektaklu ogrzewała mi plecy, parsknęła chrapliwym śmiechem. Zawtórowało jej kilkanaście typów z sopockiego towarzystwa. Ktoś zaczął gwizdać. Odezwały się głosy:

— Takiego idiotę wydelegowali.
— Łysy buc.
— Ale to kawał im zrobił.
— Dobrze przywitał przyjaciół.

W tym samym prawie momencie do łysego prelegenta, na czole którego skropliły się grube kropelki potu, podszedł kierownik baletu. Usta jego pulsowały lekkim uśmiechem. Ujął twardą dłoń polskiego robotnika w swoją wąską, delikatną rękę i mocno potrząsnął nią kilka razy. Zamknął go silnie ramieniem, uściskał i pocałował. Potem stanął przed mikrofonem, podziękował za gościnne przyjęcie i tak bardzo licznie zgromadzoną publiczność. Kiedy skończył, posypały się oklaski.

Spojrzałem na kobietę, przyjaciółkę szpakowatego mężczyzny. Skurczyła się jakby w sobie i udawała, że gwałtownie szuka czegoś w woreczku.

Jerzy Grygolunas

ALEKSANDER RYMKIEWICZ

Z cyklu „Wieniec jezior".

Siedemdziesiąt siedem miasteczek

Mazurski księżyc nie pierwszy raz
z wysoka maluje sam jeden.
Miasteczek na tej palecie dziś
lśni siedemdziesiąt siedem.

Oto jak stary flamandzki mistrz
pogłębia swe cienie miesiąc.
A za tym pędzlem miasteczek szło
siedem i siedemdziesiąt.

Każde zaś było małe jak łza,
z dachów, z zieleni spleciona.
Zieleń jak szum, dachówki jak rdza,
baszta po środku rzeźbiona.

Czy to kolory nieznanych mórz,
czy księżycowe lodowce.
Wszystkie miasteczka prowadzą swe
jeziora jak białe owce.

Można bez przeszkód policzyć je,
śledząc od wieży do wieży.
Błękitne łąki spadają jak grad
dokoła miasteczek — pasterzy.

Po jednej stronie, dawniej jak bór:
miecz, ogień, na płaszczach krzyże.
Po drugiej: zgięty, rolniczy lud
narzędzia do ziemi przybliża.

Leci daleko za srebrem biel,
Bałtyk mierzeję wiezie.
— I tak siedemdziesiąt siedem szło
miasteczek i tyleż jezior.

LUDZIE ZA MGŁĄ

(Dokończenie ze strony pierwszej)

wypadnie przecież mówić jeszcze o jawnych agenturach.

Po wtóre: Ludzi za mgłą grzeczności i „dobrych" manier kapitalistycznego świata razi otwartość, z jaką partia nowego typu ujawnia i stawia wszystkie swe bolączki i sprawy wewnętrzne bez owijania w bawełnę i bez strusiego kręcenia głową w piasku. Nie zrozumie tego nikt, kto nie ma i nie chce mieć wspólnego języka z nowym, zwycięsko idącym światem. Warto przypomnieć jak to podczas wojny, w najcięższej chwili rozgrywki o Stalingrad, Czerwona Armia w poczuciu swej siły, jako jeden ze środków wiodących do jej wzmocnienia wystawiła sztukę Korniejczuka „Front", krytykującą błędy popełniane przez pewnego typu oficerów. Tej roli krytyki i samokrytyki ludzi nowego typu nie zrozumie żaden zapatrzony w swoją sklepikarską, chałupniczą ambicję wynaturzony indywidualista.

Po trzecie: Ludzie szczerze naiwni, często nie rozumieją różnicy między *samokrytyką*, a *wykrętokrytyką*. Samokrytyka polega na uznawaniu swoich błędów w świetle pogłębiania, uczenia się i jeszcze raz uczenia się marksizmu - leninizmu. Wykrętokrytyka polega na formalnym i powierzchownym przyznawaniu się do błędów, które ujawniono poprzednio, i w zrzuceniu winy za nie na „obiektywne warunki".

Jednym z objawów takiego wykręcania się od samokrytyki jest powoływanie się na swój brak wiedzy wtedy, gdy się przegrywa.

Jest przy tym rzeczą charakterystyczną, że ludzie proletariackiego pochodzenia, gdy odrywają się od swego klasowego pnia, zaczynają najgłośniej mówić o swym pochodzeniu. Maskują swoje ideologiczne odejście: tak było z Doriot, sługą hitleryzmu, tak dziś czyni Tito.

Proletariat naszego kraju, posiadający tradycję walki od czasów Waryńskiego, nie pozwoli nikomu zagrać roli domorosłego Tito-Bonapartego, taka „kreacja" jest dla polskiego proletariatu wroga. I taka „kreacja" jest z resztą z gruntu niemożliwa. Jest rzeczą nader obcą — jeśli nie wstrętną — wysłuchiwanie melodramatycznej wykrętokrytyki ludzi, którzy „rozłożyli" swoje role.

Po tych trzech wstępnych uwagach, dotyczących raczej atmosfery kuluarów: a więc atmosfery obraźalstwa i plotek, a więc strachu przed jasnością i ujawnianiem spraw, a więc nie samokrytyki lecz kunsztu wykrętokrytyki, należałoby przejść do bardziej istotnych spraw. Tymbardziej, że między jawnymi wrogami a „pseudolewicowcami" istnieje różnica innego, bardziej istotnego podziału funkcji politycznych.

Mówił kiedyś Robespierre podczas Wielkiej Rewolucji Francuskiej: „nie zwracajcie uwagi na intrygantów, którzy pojawiają się podczas rewolucji, jak piana na powierzchni fermentujących likierów; spójrzcie na naród; zważcie wszystkie bohaterskie pociągnięcia rewolucji..."

Niewątpliwie, jeśli się zważy wielkie międzynarodowe osiągnięcia ludów, olbrzymi wzrost ruchu pokoju, zwycięstwo ludu chińskiego, — ludność państw wyzwolonych spod jarzma kapitału stanowiła przed drugą wojną światową zaledwie 190 milionów, a obecnie przeszło 750 milionów — jeśli się zważy do tego wzrost gospodarczej, politycznej i kulturalnej siły ZSRR i państw budujących zręby socjalizmu — jakże karłowata jest figura Tito, jakże ohydne są grupki jego byłych czy obecnych popleczników w różnych krajach. Niewątpliwie, jeśli się przyjrzeć uważnie skokowi naprzód, dokonanemu przez naszą demokrację ludową w ciągu 5-u lat, szczególnie zaś w ostatnim roku, jeśli spojrzeć na fabryki, warsztaty i pola, na bieg naprzód dziejów i to na zakręcie — jakiego historia ludzkości nie znała — dziwnie niewspółmierne wydają się jednostkowe melodramaty domorosłych kandydatów na spóźnione role.

Co przeszkadza biegowi naprzód dziejów, ostatecznemu zwycięstwu socjalizmu, uniknięciu wojen? Wszystko to, co osłabia zwartość, jedność, spoistość obozu pokoju, wszystko, co ułatwia, umożliwia działalność wroga, mającego od wieków wyćwiczone w agenturowej robocie sztaby dla ujarzmienia ludów. Forma tej działalności bywa bardzo różnolita. Tuż po ukończeniu wojny mieliśmy na odcinku literatury ze strony zwolenników sartryzmu próbę takiej, rzekomo lewicowej *maskarady*, mającej na celu rozbudzenie rozkładowych, pesymistycznych, rozbrajających wewnętrznie nastrojów wśród inteligencji. Maskarada Sartre'a skończyła się szybko — mimo, że wielu dopiero wtedy zrozumiało istotę tego „literackiego" nurtu, kiedy oficerowie Trumana zaczęli w Niemczech grubymi dolarami podpierać „apolityczną" literaturę i sztukę egzystencjalistów. Mieliśmy robotę titowców w ruchu robotniczym, ostatecznie zdemaskowaną przez proces Rajka w Budapeszcie. Nie należy zaślepiać się i widzieć istotę różnicy tylko w tym że nowy Trocki rozstrzelał swego Wrangla, że Tito rozstrzelał Michajłowicza. Bywają strzały i zabójstwa, które są tylko głośnym, efektownym frazesem. Do tej sprawy powrócimy.

I tutaj u ludzi żyjących we mgle drobnomieszczańskich naiwniactw rodzą się następne pytania, dotyczące *roli jednostki*. Jak się to dzieje, że w ruchu robotniczym, że w partii zmienia się i zwalcza ludzi, którym jeszcze wczoraj powierzano odpowiedzialne funkcje? Jak z drugiej strony może dojść do takiej degrengolady, takiego staczania się, ześlizgiwania się ludzi, nieraz przywódców, do obozu wroga? Czyż ludzie, którzy wczoraj byli inni, nie rozumieli socjalizmu — nie mogą się zmienić i stać się czynnymi wyznawcami idei komunizmu? I w ogóle — czemu taką wagę przywiązuje się do wszelkich różnic, jakie zarysowują się w myśleniu ludzi?

Jeśli — rozpoczynając od końcowego zdania, wielu ludzi nie rozumie tych kolejnych procesów, jakie zachodzą obecnie w partiach, stojących na czele demokracji ludowej — wynika to stąd, iż zapominają, że nawet dziecko nie przychodzi na świat bezboleśnie. Tym bardziej nie należy przypuszczać, że wielki, nowy ład społeczny — socjalizm — może przyjść na świat bez przecięcia pępowiny i to jakiej pępowiny! Pisał ongiś Lew Tołstoj o pielgrzymie, który idąc przez pole ujrzał stojącego na szosie człowieka, wymachującego wzdłuż i w poprzek dłonią. Dopiero gdy się zbliżył, zobaczył, że ten pozorny dziwak ostrzy na kamieniu nóże.

Podobnie, niezależnie od wrażeń, jakie mogą odnieść pielgrzymki i kibice — w toczącej się dyskusji ostrzy się oręż walki ideologicznej. Rzecz jasna, w miarę przechodzenia walki klas na dalszy etap, w miarę zaostrzania się bojów o nowy ład społeczny — ci wszyscy, którzy widzą ustrój socjalistyczny w kompromisie między ideologią proletariatu, a ideologią drobnomieszczaństwa, wszyscy „centryści" muszą odejść, gdyż ustrój socjalistyczny nie jest i nie może być skutkiem jakiegokolwiek „kompromisu" między klasą robotniczą a drobnomieszczaństwem, a może być jedynie skutkiem wyrzeczenia się przez drobnomieszczan wszelkich objawów tak zwanej „ideologii drobnotowarowej" wszelkich prób ratowania w ustroju socjalistycznym takich czy innych przeżytków kapitalizmu. Takim zaś przeżytkiem jest próba ukrycia — pod maską troski o człowieka — niepokoju o los mętniactwa drobnomieszczańskiego.

Natomiast u podstaw socjalizmu i walki o socjalizm leży troska o człowieka, wielkie zaufanie do człowieka, oparte jednak na realistycznym, uzależnionych od realnych jego przemian — nie zaś mistyczno-kłamliwym — doń stosunku. I po to, aby człowiek nowego typu miał pełną możność rozwoju, musi się on wyzwolić z pęt rzekomej indywidualistycznej wolności, sobiepaństwa i wypatrywania w drugim człowieku i w drugim narodzie elementów uzasadniających jego nieufność. Nieufność nie ma nic wspólnego z czujnością — jest obca człowiekowi nowego typu, marksiście - leniniście, który odnajduje swoją wolność, rzeczywistą wolność, we współpracy z innymi ludźmi.

I stąd, z tej interpretacji wolności wynika stosunek do wodza. Wielkość wodza polega na tym, że sprzęga się on, stapia w jedno z najbardziej postępowym prądem danej epoki, staje się jego duszą i ciałem, ulega mu zupełnie, aby — nie tracąc ani na chwilę rytmu czasu biegnącego naprzód, — hartem i nieustępliwością podciągać go wyżej...

W ciężkim okresie okupacji i walk okupacyjnych, a potem w pierwszym okresie demokracji ludowych, gdy po raz pierwszy zostały dokonane w nowych warunkach głębokie przemiany społeczne, gdy łagodność rewolucji była umożliwiona bohaterstwem Czerwonej Armii, istnieniem Związku Radzieckiego i jego trzydziestoletnim doświadczeniem, tu i ówdzie wyrośli wodzowie, którzy podczas okupacji wyhodowali w sobie indywidualizm drobnomieszczański („samotnik jestem"), których w pierwszych latach demokracji ludowych poklask drobnomieszczaństwa coraz bardziej rozsmakowywał w szukaniu oparcia w „narodzie" wbrew partii. Ten typ „wodza" oderwanego od swojej klasy i opętanego megalomanią osobistą był wymarzonym nosicielem oportunizmu. Widział on bowiem nie naród nowy, naród robotników, chłopów i inteligencji; potrzebny mu był klajster solidarystyczny, a dla wyrzeczenia się walki klas, legenda o „wygasaniu" tej walki, teoria swoistej drogi narodowej itd.

A tymczasem w krajach demokracji ludowych wyrastała i dojrzewała coraz bardziej ta siła klasy robotniczej, która nie samorzutnie, ale dzięki wysiłkowi starych i nowych kadr rewolucyjnych parła do dalszego rozwoju walki klas i do wyjścia — z mgły nepowej — na jasny gościniec drogi do socjalizmu. Wyrastała świadomość klasy robotniczej, która nie szukała tego — jak to robili pewni wodzowie, — co nas rzekomo dzieli od Rewolucji Październikowej, ale widziała, czuła i uczyła się tego, co nas łączy z ZSRR, krajem, który jest nauczycielem i wodzem całego obozu postępu. Konflikt między tą wielką, rosnącą siłą proletariatu, siłą obozu postępu i pokoju — a kliką, która wyobcowała się z własnej klasy, stawał się nieunikniony.

Nie jest tutaj naszą rzeczą rozpatrywanie takich wypadków, kiedy i jak klika Tito zaciągnęła się na służbę agenturową. Korzystając z mgły wojennej i powojennej nieraz zwykli agenci wywiadów drapowali się w togę „rewolucjonistów". Rzecz jasna, w ruchu robotniczym, w wielkich przemianach dziejowych górują jednak nie rzeczy przypadkowe.

Źródła szukania oparcia nie we własnej partii, nie w klasie robotniczej Polski, ale w jakiejś nieuchwytnej, rozlazłej masie, w której rozleci się hegemonia proletariatu, są znacznie dawniejsze. U podstaw tych wszystkich posunięć czy dążeń była chęć oparcia władzy nie o własną klasę, ale o własną klikę i szukanie jej w bonapartystowskim, centrystycznym rzekomym kompromisie między drobnotowarowym, czyli kapitalistycznym chłopstwem a socjalistycznym sektorem miejskim. Historia uczy, że taki pseudokompromis jest rezygnacją wobec burżuazji.

Nie ze znachorstwa, ale właśnie z naukowego, krwią bojowników przypieczętowanego doświadczenia Rewolucji Październikowej — wiemy, do czego to prowadzi. Mocodawcy imperialistyczni zorientowali się, że ich „ogony", przeniesione do drobnych ról Mikołajczyki skończyły się. Zbyt silna się stała, zbyt wyrosła klasa robotnicza, jako wódz narodu w ciągu tych kilku lat, aby tak prostackimi aktorami można było ją bawić. Trzeba było postawić na wielką rolę, na „kobyłę" w rodzaju Tito. Trzeba było otoczyć agentami samo kierownictwo partii w Polsce.

Nieoczekiwanie nie tylko dla „grzecznych" drobnomieszczan spoza mgły, ale dla mocodawców, maskarada z Tito została zdemaskowana. Sam Tito przyjmowany w lipcu ub. r. do jakiejś Akademii Nauk, użalał się, że krytyka obozu lewicy w stosunku do niego jest silniejsza, niż w stosunku do krajów kapitalistycznych. Tak, to prawda, bo choroba zakaźna we własnym domu znacznie bardziej nas obchodzi, aniżeli zaraza w obozie przeciwnika. Maskarada jugosłowiańska skończyła się procesem Rajka. Rola „rozłożyła się" — agenci stanęli bez maski.

Jeśli był okres, gdy Władysław Gomułka łącznie ze swą kliką sądził, że mu wypadnie odegrać rolę polskiego Tito, jeśli w tym celu klika ta „swoimi ludźmi" usiłowała obsadzić stanowiska i organizacje, to było to liczenie na rolę, której świadoma klasa robotnicza i jej partia nie miały zamiaru pozwolić komukolwiek zagrać. Skutek był odwrotny: rola ta została „rozłożona".

Dzięki rewolucyjnym kadrom polskiego ruchu robotniczego Mikołajczyk nie mógł dłużej odgrywać „ogonów" w anglosaskiej farsie na terenie Polski. Ruch rewolucyjny na „kobyłę" titowską nie wsiadł. Wielu z nas dziwiło się, dlaczego w lipcu ub. roku, podczas kongresu swojej partii, Tito i Bakaric atakowali wszystkie demokracje ludowe z wyjątkiem Polski. Ataki te rozpoczęły się dopiero po zeszłorocznym plenum sierpniowym PPR, gdy nadzieje na klikę nacjonalistyczną i prawicową w Polsce zawiodły. Jak bardzo liczyli na to, wykazał proces Rajka. Przeliczył się nie tylko Tito, ale i jego mocodawcy.

Nie jest rzeczą przypadku, że w otoczeniu ludzi Władysława Gomułki znalazło się tylu drugoodziałowców, tylu szpicli i szpiegów. Nie jesteśmy zwolennikami detektywistyczno - kryminalnego pojmowania dziejów i wiemy, że nie agenci ustalają linię polityczną, lecz odwrotnie — oni właśnie wyrastają z pewnej atmosfery politycznej. I ta polityczna linia ślepoty — jak udowodnił na ostatnim plenum KC PZPR Bolesław Bierut — spowodowała, że Lechowicz i Jaroszewicz i Dubiel i Kochanowicz i Kowalewski mogli się znaleźć na odpowiedzialnych stanowiskach.

Zaufanie do ludzi, wiara w ewolucję ludzi uczciwych, nie może ani na chwilę osłabić czujności politycznej i walki z oportunizmem, z drobnomieszczańską ideologią, z wszelkimi próbami centryzmu. Zaufanie do ludzi musi się łączyć z realizmem socjalistycznym w stosunku do nich, tzn. z ich kształceniem, kierowaniem, wychowywaniem i kontrolowaniem.

„Teoria przerastania prowokatora, agenta, drugooddziałowca, sypaka Lechowicza czy Jaroszewicza, klajstrowania ich przeszłości, hołubienia ich i forsowania — nie wyskoczyła jak Filip z konopi. Dla znachorów takie rzeczy, takie postępowanie są skutkiem osobistej dobroduszności. Nas uczy doświadczenie Rewolucji Październikowej, nas uczą Lenin i Stalin i nam i całemu narodowi wytłumaczył Bolesław Bierut, że szukanie sobie oparcia w tego rodzaju sojusznikach jest nieuchronną konsekwencją całej określonej linii politycznej ślepoty w stosunku do agentów i swoistej czujności w stosunku do tych, którzy pragną walkę klas doprowadzić do zwycięstwa.

Ludzie spoza mgły są dwojakiego rodzaju: ci, którzy dobrodusznie naiwni nie widzą rzeczywistości, i ci, co poza mgłą ukrywają swą agenturową rolę. Prawicowcy i nacjonaliści usiłowali stworzyć „teorię" o przerastaniu ludzi, drugooddziałowców w socjalizm. Byłoby wielkim spłyceniem zagadnienia, gdyby źródeł tej „teorii" o jednostce nie szukać w bardziej istotnych sprawach walki: w teoriach o wrastaniu kułactwa w socjalizm, w oportunizmie, teorii klajstrowania walki klas, w zamazywaniu roli proletariatu i jego partii. A Lechowicz, to szydło, które wylazło z tego worka!...

I chyba w Polsce nie znajdzie się nikt, ktoby miał odrobinę współczucia dla protektorów obcego agenta Lechowicza, który na mocy układu z gestapo wydawał sześciu komunistów na rozstrzał za jednego zwolnionego wybitnego akowca. Lechowiczów jest kilku, kilkunastu, kilkudziesięciu. Na całym świecie może kilka tysięcy.

Komunistów są setki tysięcy. Na świecie — miliony.

Zresztą siła komunizmu polega nie tylko na liczbie.

Jerzy Borejsza

W następnym numerze ciąg dalszy:

II. SZEŚCIU ZA JEDNEGO
III. ISTOTA WALKI
IV. CZUJNOŚĆ I ZAUFANIE

POKOJ ZWYCIĘŻA...

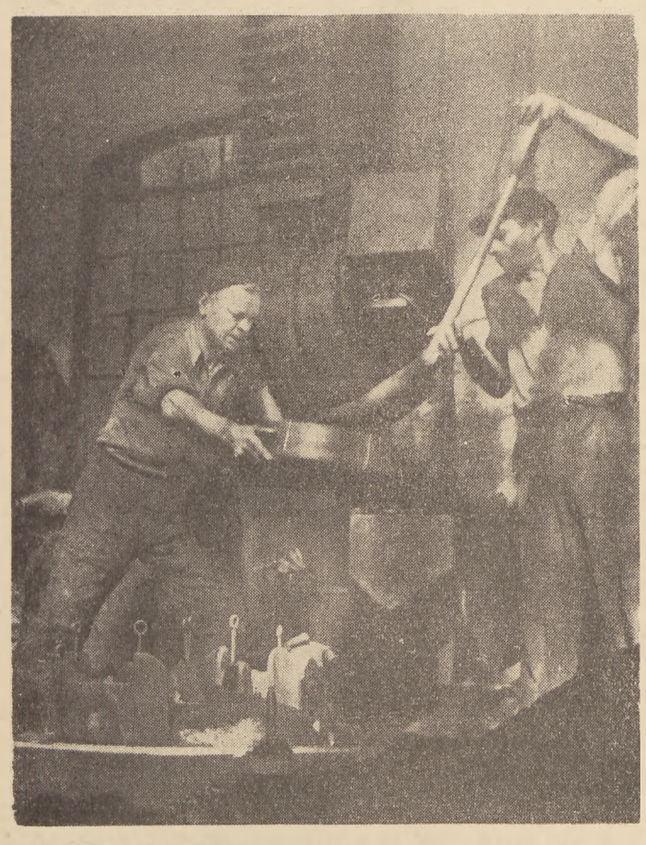

Edward Hartwig — Tempo pracy

Kazimierz Lelewicz — Więcej cegieł, więcej domów dla świata pracy

Leonard Idziak Tulacz — Palac dziecka w Katowicach pnie się w górę

Henryk Nowak — Potęga stali

Polski Komitet Obrońców Pokoju zorganizował wystawę fotografii artystycznej Polskiego Towarzystwa Fotograficznego na temat „Pokój zwycięża". Wystawa zostanie otwarta 1. XII. 1949 r. w Muzeum Narodowym w Warszawie

MIKOŁAJ WIRTA **Przełożył z rosyjskiego TADEUSZ MONGIRD**

MARSZAŁEK ROKOSSOWSKI POD STALINGRADEM

ROKOSSOWSKI PRZEJMUJE FRONT *)
Rokossowski, dowódca 66 Armii i dowódca dywizji, na brzegu Wołgi

Dowódca dywizji: Tam towarzyszu generale, jest Stalingrad.

Rokossowski: Któremu zgodnie z rozkazem towarzysza Stalina powinniśmy pomóc, towarzyszu pułkowniku.

Dowódca dywizji: Pomagamy jak możemy, towarzyszu generale. Dywizje osłabione.

Rokossowski: A na tyłach diabli wiedzą co się dzieje... Skarżycie się na brak tego czy innego, a sami nie kiwnęliście palcem, żeby jakoś zaradzić. *(Wsiada do samochodu).*

Dowódca dywizji: Naprawimy to, towarzyszu generale.

Rokossowski: Towarzyszu dowódco armii! Wasza 66 armia powinna bezustannie nękać przeciwnika.

Dowódca 66: Tak jest, towarzyszu dowódco.

Rokossowski: Towarzyszu pułkowniku, przyjadę za 10 dni i dokładnie zlustruję. Do zobaczenia... Bardzo bym chciał za następnym razem was pochwalić... *(do kierowcy)* Do 24 armii! *(Odjeżdża).*

Dowódca dywizji: *(patrząc za nim z rozczarowaniem).* A mówili, że on — choć do rany przyłóż.

Tytuł:
(na tle mapy frontu 24 armii)
24 Armia miała odegrać wybitną rolę w operacji listopadowej.

KWATERA DOWÓDZTWA 24 ARMII

Dowódca 24 armii: Melduję się, dowódca 24 armii, towarzyszu dowódco frontu. Armia zajmuje pozycje obronne i umacnia je.

Rokossowski: Sprawdzimy... Do samochodu, na pierwszą linię!

Dowódca 24 armii: Na pierwszą linię?

Rokossowski: Nie lubię dwa razy powtarzać, towarzyszu dowódco armii!

NA PIERWSZEJ LINII

Rowami łącznikowymi Rokossowski, dowódca 24 dywizji wraz ze świtą idą w kierunku okopów pierwszej linii. Punkt obserwacyjny batalionu. Żołnierze powstają.

Dowódca 24: Dowódca frontu.

Dowódca batalionu: Towarzyszu generale, batalion zajmuje pozycje obronne.

Rokossowski: Czołem towarzysze!

Żołnierze: Czołem, towarzyszu generale!

Rokossowski: Jak tam nieprzyjaciel?

Dowódca batalionu: Walczy, towarzyszu generale. Zaciekle walczy.

Rokossowski: Nie dawajcie im ani godziny spokoju, towarzyszu dowódco armii. Niemcy nie powinni wycofać z frontu waszej armii ani jednej dywizji.

Dowódca 24: Tak jest, towarzyszu dowódco.

Rokossowski: No, towarzysze, wkrótce i do was przybędą posiłki. Znaczne posiłki.

Dowódca batalionu: To doskonale, towarzyszu generale. Wtedy nikt nas stąd nie ruszy.

Rokossowski: Nie ruszy? Hm... A nie znudziło się wam tak stać w miejscu?

Dowódca batalionu: Przepraszam, chciałem powiedzieć: rozkaz stać, więc stoimy, rozkażą atakować, tylko będziemy się cieszyć, towarzyszu generale.

Rokossowski: A więc cóż! Jak przyjdzie czas — będziemy się cieszyć. Do widzenia! Jadę do 65 armii.

W OKOPACH 65 ARMII

Rokossowski i dowódca 65 Armii wchodzą do ziemianki żołnierskiej. Żołnierze powstają.

Rokossowski: Czołem towarzysze!

Żołnierze: Czołem, towarzyszu generale!

Rokossowski: Odpoczywajcie, — i ja u was odsapnę *(skręca papierosa z machorki i zapala).* A tego towarzysza *(gest w stronę dowódcy armii)* znacie?

Żołnierz: Jak tu nie znać swego dowódcy armii!... Częsty gość u nas...

II żołnierz: A i was widzieliśmy!...

Rokossowski: Tak? A gdzie?

III żołnierz: Pod Moskwą. Razem z wami biliśmy Niemca. Jak dowiedzieliśmy się, że przyjechaliście tutaj, towarzyszu generale, od razu zaczęły się domysły. Znaczy, że niedługo zaczniemy ich młócić.

Rokossowski: *(z zakłopotaniem)* No, no!

Żołnierz: Wybaczcie — to tak od serca.

Rokossowski: *(oglądając się)* Urządziliście się tutaj dobrze, wygodnie.

IV żołnierz: Żołnierskie życie — wiadomo — dzisiaj tu a jutro 300 kilometrów dalej. A chyba nie przyjdzie się już tak solidnie urządzać.

Rokossowski: A dlaczego?

Żołnierz: Kiedy już ruszymy to bez zatrzymania się, towarzyszu generale.

III żołnierz: A zacznie się już chyba prędko.

Rokossowski: Czemu tak sądzicie?

III żołnierz: Nie na darmo was przysłał tutaj towarzysz Stalin! Żołnierza nie łatwo oszukać...

Rokossowski: *(gniewnie)* Znowu! *(wstaje)* A więc cóż, towarzysze, zapamiętajcie wasze słowa: jak zaczniemy, to już nie będziemy się zatrzymywać.

Żołnierz: Tak jest, towarzyszu generale.

Rokossowski: *(wychodząc)* Dam ja wam szkołę, towarzyszu dowódco armii, za to przedstawienie.

Dowódca 65: Towarzyszu dowódco, ja przecież nie byłem tutaj od 3 tygodni! To oni tak, od siebie.

Rokossowski: *(gniewnie)* Od siebie *(zamyśla się)* tak... A więc cóż! Na razie towarzyszu dowódco, nie mam żadnych uwag... *(uśmiecha się).* Chętnie bym się do czegoś przyczepił, ale nie ma do czego. Towarzysz Stalin rozkazał: Na odcinku 65 armii nie powinno być żadnych ataków i demonstracji. Okopać się głębiej, solidniej — i żadnej aktywności! Z nowoprzybyłych dywizji — nie posyłać ani jednego żołnierza czy oficera na zwiady, przeciwnik nie powinien wiedzieć o przybyciu tych jednostek.

Dowódca 65: Rozkaz, towarzyszu dowódco.

*

Tymczasem front południowo-zachodni, doński i stalingradzki kończyły przygotowania do operacji.

PRZED WIELKĄ BITWĄ

Rada wojenna trzech frontów.
Watutin, Rokossowski, Jeremienko.
Przewodniczy Wasilewski. Wieczór. Rada zebrała się w izbie chłopskiej. Na ścianie — wielka mapa ze strzałami schodzących się uderzeń.

Wasilewski: Towarzyszu Watutin, kiedy południowo-zachodni front zakończy przygotowania do operacji, którą rozpoczynamy 19 listopada?

Watutin: Wszystko przygotowane, towarzyszu generale-pułkowniku. Oczekujemy na ten dzień, jak na święto.

Wasilewski: Rozpocząłem od was dlatego, że wasze zgrupowanie uderzeniowe przeprowadza główny atak.

Watutin: Sprawdziłem wszystko osobiście, towarzyszu generale-pułkowniku, i sprawdzę jeszcze raz w ciągu pozostałych dni.

Wasilewski: Towarzyszu Rokossowski, front doński wykonuje atak pomocniczy. Czy wszystko już u was przygotowane?

Rokossowski: Wszystko, towarzyszu generale-pułkowniku, ale sprawdzę jeszcze i jeszcze raz.

Wasilewski: Zgrupowanie uderzeniowe frontu stalingradzkiego, towarzyszu Jeremienko, rozpocznie atak o dzień później. Nie macie tak wiele sił... Zmusimy przeciwnika do zwrócenia całej uwagi na uderzenie z północo-zachodu, nadszarpniemy jego siły w ciągu tego dnia, a potem zaczniecie wy.

reprod. WAF

Jeremienko: Wszystko przygotowałem, towarzyszu Wasilewski, ale nie zaszkodzi jeszcze raz sprawdzić...

Wasilewski: A więc zaczynamy ofensywę w rejonie Stalingradu za 12 dni, 19 listopada. Druga po bitwie moskiewskiej operacja na wielką skalę — ogromne zadanie, które macie wypełnić. Powinna ona stać się punktem przełomowym w przebiegu całej wojny. W historii.

*

SZTAB 65 ARMII FRONTU DOŃSKIEGO
Rokossowski i dowódca 65 Armii.

Dowódca 65: A więc towarzyszu dowódco, ja wykonuję atak mający na celu ubezpieczenie lewego skrzydła frontu południowo-zachodniego. Równocześnie z lewym skrzydłem 21 armii i prawym skrzydłem 24 otaczam i niszczę znajdujące się za Donem zgrupowanie przeciwnika — 11 korpus piechoty Stekkera. Główne uderzenie przeprowadzam na 6-kilometrowym froncie w rejonie Kletskaja — Mieło — Kletskaja. 16 armia lotnicza wspiera mnie z powietrza.

Dzwonek telefonu

Adiutant: Do was, towarzyszu dowódco frontu.

Rokossowski: *(bierze słuchawkę)* Tak. Dzień dobry, Aleksandrze Michajłowiczu! Wszystko w porządku. Wszystko sprawdzone. Oczekujemy rozpoczęcia ataku... *(uśmiechając się)* I „święta na naszej ulicy".

*

CZĘŚĆ ÓSMA
Na ekranie księga kronika.
NAPIS:
Koniec grudnia 1942 roku. Wojska radzieckie prowadzą działania ofensywne na ogromnym froncie.

SPEAKER:
(na tle karty okrążonego zgrupowania)
Pod Stalingradem w żelaznym pierścieniu były zamknięte dwadzieścia dwie dywizje niemieckie.

*

MOSKWA. KWATERA GŁÓWNA
Stalin, Woronow, Rokossowski, Wasilewski.

Stalin: Likwidacja zgrupowania Paulusa powinna być przeprowadzona w jak najkrótszym czasie. Powinniśmy zwolnić nasze armie, by użyć ich do działań na innych odcinkach... A przy tym palącym zagadnieniem jest uruchomienie stalingradzkiego węzła kolejowego i połączeń kolejowych z naszymi wojskami atakującymi na północnym Kaukazie i w rejonie łuku Wielkiego Donu.

Woronow: Proponuję, towarzyszu Stalinie, siły obu frontów dońskiego i stalingradzkiego zjednoczyć pod wspólnym dowództwem towarzysza Rokossowskiego. Jednolite dowództwo jest w tym wypadku szczególnie ważne.

Stalin: Zgadzam się. Towarzyszu Wasilewski, rozkażcie, aby armie 62, 64 i 57 zostały przekazane pod rozkazy towarzysza Rokossowskiego.

Wasilewski: Rozkaz, towarzyszu Stalinie.

Stalin: *(podchodzi do stołu, na którym leżą mapy).* A więc, jaki macie plan?

Woronow: Operacja rozpracowana, towarzyszu Stalinie, według waszych założeń — rozdzielenie okrążonego zgrupowania na kilka części, a następnie likwidacja każdej z nich z osobna... Uderzenia w krzyżujących się kierunkach, a w następstwie zwężenie terenów operacyjnych okrążonych wojsk przeciwnika.

Rokossowski: Zupełnie nowy rodzaj manewru taktycznego!

Stalin: *(przerywając rozmyślanie nad mapą)* Weźcie to pod uwagę, że przeciwnik rozporządza 200.000 bagnetów i przewyższa nas pod względem ilości czołgów i samolotów.

Woronow: Ale my, towarzyszu Stalinie, jesteśmy wielokrotnie od niego silniejsi pod względem artylerii. *(wyjmuje notes).*

Stalin: *(z uśmiechem)* Aha, wspaniała książeczka! Wierzę, wierzę, towarzyszu Woronow. Artyleria — Bóg wojny. Nie trzeba wam tego mówić.

Woronow: Rozważaliśmy skrupulatnie wszystkie plusy i minusy w siłach przeciwnika.

Stalin: Trzeba uderzać tylko na pewniaka.

Woronow: Opierając się na danych wywiadu przy wyborze kierunku głównego uderzenia braliśmy pod uwagę z dowództwem frontu dońskiego stosunkową słabość pozycji Paulusa w północno-zachodniej części pierścienia *(pokazuje na mapie).*

Rokossowski: Rejon Marinowka — Karpowka stanowi słabo ubezpieczony występ, towarzyszu Stalinie.

Stalin: Należy go ściąć przede wszystkim.

Woronow: Najważniejsze zadanie w operacji będzie miało lotnictwo i artyleria. *(wyciąga znów notes).* Będę wymieniał zaokrąglone cyfry. W przygotowaniu artyleryjskim bierze udział dwa tysiące dział i trzy tysiące granatników nie licząc artylerii dywizyjnej.

Wasilewski: Tutaj już Mikołaj Mikołajewicz pokaże co umie!

Woronow: Na poszczególnych odcinkach zagęszczenie ognia artyleryjskiego będzie dochodziło do 300 dział na jeden kilometr frontu, towarzyszu Stalinie.

Stalin: Tak. Tyły znakomicie spisały się z zaopatrzeniem was, towarzyszu Woronow.

Woronow: Tak się przedstawia ogólny plan operacji. Szczegóły, towarzyszu Stalinie, poda towarzysz Rokossowski.

Rokossowski: Czy można? Główne uderzenie wyprowadzam z zachodu na wschód w ogólnym kierunku na Gonczara — fabrykę „Czerwony Październik", siłami trzech armii.

Stalin: *(śledzi na mapie)* Tak, tak...

Rokossowski: Armie byłego frontu stalingradzkiego wykonają atak pomocniczy. Operacja dzieli się na trzy kolejne etapy: 1) zniszczenie zachodniej i północno-wschodniej części ugrupowania przeciwnika, 2) likwidacja wojsk nieprzyjacielskich w rejonie Piesczanka — Stalingrad — Gumrak; 3) ostateczne oczyszczenie całego rejonu z poszczególnych grup przeciwnika. To, towarzyszu Stalinie, byłoby w ogólnych zarysach wszystko.

Stalin: Plan doskonały. Kiedy zamierzacie rozpocząć ofensywę?

Woronow: Będziemy gotowi w początkach stycznia, towarzyszu Stalinie.

Stalin: Plan przyjmujemy. Nie macie żadnych zastrzeżeń, towarzyszu Wasilewski?

Wasilewski: Żadnych, towarzyszu Stalinie.

Stalin: Doskonale. Umowna nazwa operacji... no, powiedzmy „Pierścień".

Woronow: Rozkaz, towarzyszu Stalinie.

Stalin: Życzę wam powodzenia.

*

TYTUŁ

10 stycznia 1943 roku o ósmej z rana powietrzem wstrząsnęła kanonada na całym froncie. Bóg wojny — artyleria i samoloty lotnictwa radzieckiego niszczyły wszystko co żyło i znajdowało się wewnątrz pierścienia.

PUNKT OBSERWACYJNY 65 ARMII

Woronow, Rokossowski i dowódca 65 Armii. Rokossowski patrzy przez lornetkę. Przed nim okopy nieprzyjacielskie. Szaleje nad nimi huragan ognia.

Zegarek Rokossowskiego: 8.20.

Woronow — dowódca całej tej potężnej artylerii — krzyczy coś, ale głos jego ginie w huku dział. Spogląda na zegarek: 8.40.

Z wyciem przelatują nad wzgórzem samoloty. Pole, na które spogląda Rokossowski — pokryte dymem. Spogląda na zegarek: 8.50.
Działa huczą.

Woronow: *(spogląda na zegarek)* Dziewiąta zero pięć! *(na ucho Rokossowskiemu)*: Konstantynie Konstantynowiczu, już czas! Rozpoczynajcie atak piechoty.

Rokossowski podnosi rękę.

Zza wzgórza wylatuje seria rakiet. Radiostacje polowe podają wzdłuż całego frontu sygnał: „555"... „555"... „555"... Telefony: „Ojczyzna"... „ojczyzna"... „ojczyzna"...

Piechota powstaje. Nie kończący się okrzyk „hurra". Rozlegają się dźwięki marsza wykonywanego przez orkiestrę. Orkiestra gra w pełnym składzie na oczach przeciwnika.

Dywizje idą do szturmu ze sztandarami.

Zegarek: 10.05.

Znowu wznosi się seria rakiet.

Na przedpolu okopów przeciwnika żołnierze zeskakują z czołgów i wpadają w okopy niemieckie.

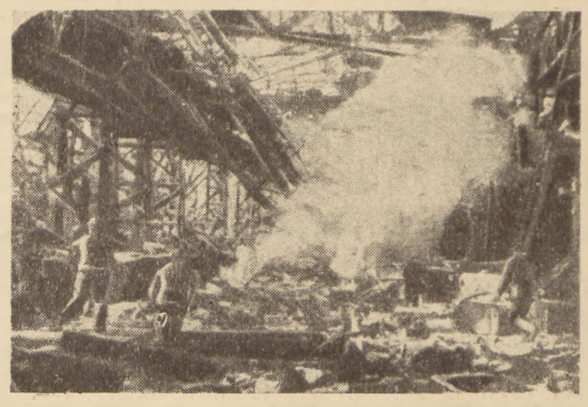

reprod. WAF

PUNKT OBSERWACYJNY 65 ARMII

Dowódca 65 Armii składa meldunek Rokossowskiemu.

Dowódca: Towarzyszu dowódco, piechota zajęła pierwszą linię okopów.

*

MOSKWA. KWATERA GŁÓWNA

Stalin: *(przy telefonie)* Umyślnie nie dzwoniłem do was wcześniej, nie chciałem przeszkadzać. Jak się przedstawia sytuacja? Jedną chwileczkę... *(Bierze lupę, przysuwa telefon do mapy).*

Rokossowski: *(przy telefonie)* Mimo zaciętego oporu przeciwnika zadanie pierwszego etapu zostało wykonane, towarzyszu Stalinie. Zachodni występ systemu obronnego Niemców został ścięty.

Stalin zaznacza na karcie

Żeby jak najlepiej wykorzystać sprzyjającą sytuację, która się obecnie wytworzyła, punkt ciężkości przenosimy na działania 21 armii. We współdziałaniu z grupą uderzeniową 64 i 57 armii, 21 armia zakończy okrążenie zgrupowania nieprzyjaciela w rejonie Basardino, Woroponowo, Pitomnik...

Stalin: Pamiętam, pamiętam te miejscowości. Teren pocięty wąwozami, nie przyjdzie wam to łatwo

(Dokończenie na stronie czwartej)

**) Scenariusz II serii „Bitwy stalingradzkiej".*

JULIAN TUWIM

Z NOTESU

Miałem 20 lat, gdy zaczęła się pierwsza wojna, a 45 gdy wybuchła druga. Po środku „odbyło się" ćwierćwiecze, które stanowiło młodość. Upłynęła ona na wspomnieniach z pierwszej wojny i na przewidywaniach drugiej; odgłosy jednej burzy i pomrukiwania następnej wypełniły życie mojego pokolenia niepokojem, poczuciem tymczasowości, niepewności, zawieszenia w niebezpiecznej próżni. W ziemi leżały jeszcze niewypały artyleryjskie z lat 1914 — 1918, a już węszyliśmy i wypatrywaliśmy pociski Luftwaffy. Wzięci w dwa ognie, chodziliśmy po ziemi zygzakiem, czepiając się byle jakich „idei", „prądów" i „kierunków", jak pijany płotu.

Wtedy zaczęła się moja Choroba Czasu...

Lekarze nazwali ją chorobą przestrzeni.

✤

Że cały świat — to w tym wypadku nie ważne. Ważne jest to, że maleńka część tego świata, moja ojczyzna (tj. mój dom, moje miejsce) znalazła się w ogromnym, w największym w swojej historii wichrze przemian. Ze szczerością, która mnie może dużo kosztować, wyznaję, że jako poeta nie dorosłem do wysokości odbywających się zdarzeń. Nie dorosłem artystycznie. Nie mogę im artystycznie podołać. Nie mogę nadążyć, nie mogę przewyższyć — bo poeta chce przewyższać. To nie znaczy wcale: uciec, wyodrębnić się, wznieść się ponad (że niby „sztuka jest ważniejsza"). Poeta chciałby z wystających nad rzeczywistością szczytów związać syntetyczny supeł epoki. Jeżeli się komu nie podoba słowo „supeł", to niech będzie węzeł. To właśnie jest jedyną wolą, jedynym celem dalszej twórczości.

✤

Z natury, z artystycznego rodu, jestem osobnikiem dionizyjskim, bachicznym, WESOŁYM (w poetyckim sensie). Jeżeli tyle było śmierci, zgrozy i groteski w wielu moich dawnych wierszach, to z tegoż powodu, przez nienawiść do nich. Modne jest wyrzekanie na mój (i „Skamandra") „witalizm". Ale cóż to jest ten witalizm? Radość życia. Przeczytajcie antologię „Młoda Polska", ułożoną przez Boya. Wtedy dopiero ocenicie naszą rewolucję — rewolucję „Skamandra". Straszne rzeczy w tej antologii: magi, sarkofagi, mistyczny zakątek trupiarnia... Skamandryci zrobili swoje — i po prostu rozeszli się w różne polityczne strony. Mój radosny witalizm trwa. Zmienił tylko pole działania. Dorwał się do walki człowieka o ziemskie prawa. Dawniej harcował po ślepych żywiołach albo wszelakim nieziemstwie.

✤

Długa rozmowa z W. na tematy historyczne i filozoficzne. Wyszedł ode mnie pokrzepiony na duchu moim nieuctwem.

✤

R. jest zbiorowiskiem najnikczemniejszych cnót ludzkich.

✤

Pewni ludzie, gdy ich doprowadzić do właściwego, t. j. zmniejszonego formatu (kalibru), mogą się okazać bardzo pożyteczni.

✤

W państwie socjalistycznym należy walczyć z pojęciem „prowincji".. Każde małe miasteczko może i powinno stać się stolicą w jakiejś dziedzinie pracy.

✤

Przysłowie arabskie: „Jeżeli sąsiad twój odbył jedną pielgrzymkę do Mekki, miej się na baczności; jeżeli dwie — unikaj go; jeżeli trzy — przeprowadź się na inną ulicę".

✤

Ta szlachta wiecznie o krwi: czy kto „dobrej" czy „nie dobrej"?, szlachetnej czy nie szlacheckiej (bo to były dla niej synonimy) i „kto waćpana rodził". Całe wieki trwał w Polsce ten rasizm.

✤

Wyczytane u Kniaźnina:

Nie było kąta, mój lisie,
Gdziebyś ty siebie nie wściubił.
Ostrzegam szczerze: strzeż mi się,
Żebyś ogona nie zgubił.

✤

Według *urzędowych danych* amerykańskiej Federalnej Komisji Handlowej 1% (jeden procent) ludności USA jest posiadaczem 59% (pięćdziesięciu dziewięciu procent) bogactwa narodowego Ameryki. Dochody wojenne przemysłowców amerykańskich, według jednego źródła wyniosły pięćdziesiąt dwa miliardy dolarów, według innego — osiemdziesiąt miliardów.

✤

Uwaga, mówcy na uroczystych obchodach i akademiach! Pamiętajcie, że drugie pół godziny każdego przemówienia trwa o trzy godziny dłużej, niż pierwsze.

✤

Dziecka nie można wychowywać w ten sposób, że na lekcji arytmetyki mówi mu się, że 2 + 2 = 4, a na lekcji religii, — że 2 + 2 = 5.

✤

Westchnienie w Paryżu (październik 1939): „Pissoiry na każdym rogu, a pleuroirów ani śladu!".

✤

Nie mizdrzyć się do robotników! Mają oni dobre oko i węch. Istnieje jakaś nieznośna maniera rozmowy inteligenta z robotnikiem; coś, co przypomina naśladowanie chłopskiej mowy przez burżuazyjnych letników — aby się chłopom przypodobać. A robotnik ma w d... waszą „pobłażliwość" i tzw. zniżanie się do jego „poziomu".

✤

Niektórym wierszopisarzom młodego pokolenia wydaje się, że sama tematyka utworów uprawnia ich do fuszerki formalnej i usprawiedliwia to strzępiaste, wichrzaste, rozchełstane, rozmamłane śmieciarstwo, jakie bezkarnie uprawiają. Czyta się coraz częściej takie wiersze, że ma się ochotę... Niektóre rozwierzgane patałachy doszły do tego, że sobie tę swawolę i nonszalancję w stosunku do kunsztu poetyckiego poczytują za zasługę. Słyszeli dzwon, ale nie wiedzą z jakiego kościoła. Słyszeli o zwalczaniu formalizmu i estetyzmu — i wyciągnęli z tego najgłupsze wnioski, które inicjatorom walki o treść ideową poezji nigdy w głowie nie postały.

✤

Chrześcijaństwo bardzo się przysłużyło sprawie miłości, robiąc z niej grzech.

✤

Apolityczność stała się dla mnie pojęciem równym niemuzykalności: nie mogę jej — poeta! — zrozumieć.

✤

Po diabła mi wasza „wolność słowa", jeżeli z niej mam korzystać dla wyrażenia gniewu zrewoltowanego sumienia! Na dnie tej waszej sławetnej „wolności" ukryta jest najstraszliwsza niewola sumienia (New York, 1943).

✤

Tak jest, londyński matole! — jestem za żelazną kurtyną. Tyle tylko, że po waszej stronie tej kurtyny jest historycznej sceny na trzy kroki, a po naszej — na tysiące kilometrów.

✤

Sztuka jest jedną z form stosunków międzyludzkich, nie zaś zjawiskiem jednostronnym tj. z jednej strony twórca, a z drugiej nie wiadomo co. Tam, po drugiej stronie, jest czekający człowiek.

✤

KULA W ŁEB? TAK!

Kiedy, wracając z Ameryki do Polski, zatrzymałem się na kilka dni w Londynie, zaczęli mnie odwiedzać rozmaici wysłannicy londyńskiego „rządu", aby mnie w ostatniej chwili powstrzymać od powrotu do kraju. Jeden z nich użył takiego argumentu: „Znam pana dawno i dobrze, poniesie pana temperament pisarski i narazi się pan albo im („bolszewikom"), albo naszym. Niech pan pamięta, że to w obydwóch wypadkach grozi tam kulą w łeb...". Nic na to nie odpowiedziałem, zapytałem tylko, jakie ma zamiary. Odpowiedział, że ma wizę w kieszeni i wyjeżdża do Kalifornii...

Niedawno dowiedziałem się, że się tam zastrzelił.

✤

Warto by napisać studium porównawcze o... dwóch koniach: o tym z pomnika księcia Józefa — i o tym z pomnika Piotra Wielkiego. Celem tej rozprawy byłoby oczywiście wysnucie ważnych wniosków historycznych.

✤

Zarzucasz mi, „że bezkrytycznie" chwalę wszystko, co się u nas i u naszych politycznych przyjaciół dzieje — a „bezkrytycznie" ganię wszystko, co się dokonywa pod hasłem kultury zachodniej. Przede wszystkim — nie masz racji. Po wtóre—*o jakże pragnę, abyś ją miał!* To znaczy: żebym już doprawdy potrafił bezkrytycznie, ślepo i namiętnie, bez achów i ochów, całym młodym sercem moich starych lat, sławić ten największy w dziejach zryw i lot rewolucji socjalnej, jaki szumi nad moją głową. Krytycyzmy! krytycyzmy! też mi coś ważnego! Pokaż mi tę PRAWDĘ, tę linię graniczną, ten absolutny miernik, który cię uprawnia do krytycyzmów. Ale nie operuj, proszę cię, mętnymi, nieuchwytnymi pojęciami, gdzieś na pół drogi między ziemią a Syriuszem. Daj mi ziemski, konkretny punkt, z którego patrząc, widzisz dobro i zło. Otóż ja taki punkt już znalazłem: jest nim wyzwolenie dwóch miliardów nędzarzy spod panowania paru tysięcy wielkich bogaczy. To jest najważniejsze na świecie. Ważniejsze od sztuki, wolności słowa, krytyczności i załamywania rąk czy kiwania głową nad tym lub innym „pieregibem". O „bezstronności" pomówimy w godzinę po wysadzeniu w powietrze ostatniego fortu kapitalizmu i imperializmu — zjawisk bezapelacyjnie konkretnych.

✤

O UNIESIENIU
(Wstęp, utwór i komentarz)

1) Wstęp.

Uniesienie jest słowem, którego poeci zazwyczaj używają w drugim przypadku liczby mnogiej — gdy trzeba zrymować jesień... Jesień — uniesień, zawsze „dawnych", „minionych", „zgasłych", „wystygłych", „młodych"... Ta para rymów stała się klasycznym po tysiąckroć powtarzanym banałem, liczmanem, sztampą, na skutek czego *uniesienie* straciło sens i urodę. Mówimy potocznie *w uniesieniu*, ale tylko w znaczeniu zagniewania, kłótni; tak samo w postaci czasownikowej: *uniosłem się, nie unoś się* — zawsze dla określenia stanu kłótliwego podniecenia. Proponuję, abyśmy odseparowali uniesienie od jesieni; rymujemy ją inaczej, np. *jesień—wrzesień — zalesień*, nawet *pieśń*, nawet *je się* („pora, gdy owoce je się"... he, he!...) — Uniesieniu zaś przywróćmy piękną pierwotną treść — o dziwo! właśnie tę z banalnego rymu, ale bez melancholijnych przymiotników! „Uniosło mnie" niech znaczy: uskrzydliło. „Uniosłem się" niech brzmi jak: będę pisał wiersze, a samo „uniesienie" niechaj się równa natchnieniu! czyli: niech ono unosi na niewidzialnych skrzydłach w wysoką radość twórczości!

To był wstęp. A teraz:

2) Utwór.

WARSZAWO! WARSZAWO!
WARSZAWO!
— I W PŁACZ ZE SZCZĘŚCIA!

Koniec utworu. Powstał on w niemałych mękach. Przez kilka dni nosiłem w sobie ten refren, nie wiedząc, co z nim zrobić. Wreszcie, pewnego dnia, w tramwaju, wracając z Mokotowa, zacząłem dopisywać do niego ciąg dalszy. Ale nie mogłem wysiedzieć w domu, wyszedłem na spacer, a ponieważ spacerowałem po Łazienkach, więc dopisywałem dalej. Wróciłem do domu, zjadłem obiad, położyłem się na godzinę, a potem dopisałem ostatnie słowa. Wiersz ten, jak wiadomo, stał się hymnem Warszawy. Nie wiem, czy jest dobry, czy zły, ale wiem, że jest szczery. Nie wiem, czy jest poezją, ale wiem, że jest prawdą.

3) Komentarz.

Ach, Warszawo uniesiona!
Ach, Warszawo unosząca!
Ach, uniesienie moje, uniesienie!
Nic unosi mnie z tej ziemi ani
„kędyś" ani „dokądś".
Nie unosi mnie z tych czasów
w żadne inne,
— Tylko t a ziemia moja mnie
unosi
I t e n mój czas cudowny!

Przyjaciele poeci! Mamy nowy rym do „uniesień"! Jest nim Wiosna.

Julian Tuwim

ALEKSANDER HAWRYLUK — **Przełożył Wincenty Rzymowski**

BEREZA (4)

Włosy stają dęba, w piersiach czuje się brak tchu, gdy za tobą pod uderzeniami pałek, na czubkach butów i na łokciach z jakąś nieludzką zwinnością, niby rój strasznych owadów, miotają się ludzie. (Był to transport z Wilna. Pamiętam niektóre nazwiska: nauczyciel Cukierman, kominiarz Rubinowicz, krawiec Rogow...)

Taki był drugi dzień.

W końcu dnia trzeciego okazało się, że odmroziłem sobie ręce. Rano poprowadzono więźniów na rewizję lekarską: doktór miał orzec, czy możemy wytrzymać taki „regulamin". Z ciemnofioletowymi, spuchniętymi od razów, gołymi ciałami przechodziliśmy kolejno przed tym bydlakiem, wyposażonym w dyplom uniwersytecki.

Rozdano nam już odrażające kapoty z olbrzymimi, na całe plecy, numerami. (Mnie przypadł Nr 820). Pod wieczór wezwano czterech, w tej liczbie i mnie, i nakazano:

— Po wodę biegiem marsz!

Pałkami spędzono nas w dół, pałkami wskazywano drogę. Na szczęście doktór Prawin, który już wprzódy zakosztował Berezy, znał drogę.

Wprzągłszy się w beczkę osadzoną na dwóch kołach, ciągnęliśmy ją, wśród zamieci, przez zaspy śnieżne, polem obozu koncentracyjnego. Ja szedłem w dyszlu, towarzysze popychali z tyłu. Czułem, że ręce moje marzną, widziałem — palce zbielały, lecz porzucić dyszel... Zrozumiałem, że dłonie moje giną i spróbowałem ukazać je strażnikowi, porzuciłem nawet dyszel; lecz towarzysze, wpółobłąkani od przeżytej zgrozy, nie domyślili się lub nie odważyli się zastąpić mnie przy dyszlu, strażnik zaś zwalił na mnie taki grad razów, że pozostały mi tylko dwie możliwości: albo paść w zaspę śniegu, albo chwycić za dyszel odmrożonymi rękami.

Gdy wracaliśmy, nalawszy wody w beczkę, przy dyszlu stanął Prawin. Strażnikowi pilno było skończyć robotę, a tymczasem my z beczką ugrzęźliśmy w zaspie. Wtedy chwycił za pałkę i z wściekłością jął walić w schylony od wysiłku grzbiet Prawina. Straszliwym naprężeniem mięśni, aby ocalić towarzysza od ciosów, wywlekliśmy beczkę z zaspy. Strażnik znów spokojnie jął kroczyć za nami. I nagle z wstrząsającą jasnością spostrzegłem, że katuje on nas zupełnie beznamiętnie, jak rąbie się drwa, jak wyrabia się cegłę, jak buduje się domy. Że nie żywi on wobec nas żadnych w ogóle uczuć, ani nienawiści, ani złośliwości, że jest dlań rzeczą całkiem obojętną: czy ja ręce utracę, czy Prawin mieć będzie odbite nerki. Ze zgrozą zrozumiałem wtenczas, że ta dwunoga istota, idąca za nami z pałką, nie jest w ogóle człowiekiem i jednocześnie jest człowiekiem. Pamiętam, z niesłychaną udręką spojrzałem w śnieżne pola, jakby poszukując odpowiedzi. Lecz dokoła było tylko dalekie ogrodzenie z drutów kolczastych, a obok nas nieludzki człowiek z pałką, i żaden świat inny dla nas nie istniał...

✤

I oto zacząłem poznawać „układ życia" w Berezie, wchodzić w jej powszednią kolej.

Układ życia tutaj wcale nie jest więzienny. Nie. Wszystkie drzwi stoją otworem. W dzień w ogóle bywa tu pusto. W nocy ludzie śpią na narach dwoma szeregami, głowa przy głowie. Nad każdym — tabliczka z nazwiskiem i numerem. W świetle wątłej, żółtawej lampki sala przypomina bratni cmentarz. Śpiący, bądź co bądź, niepodobni są do ludzi żywych. Człowiek, wprowadzony tutaj bez uprzedzenia, wziąłby ich niewątpliwie za okaleczone trupy: taki jest wyraz twarzy ludzi śpiących, bezruch skamieniały, nawet we śnie, ich ciał.

O godzinie czwartej rano martwą ciszę znienacka przeszywa świdrujący gwizd. W tej samej sekundzie na wszystkich salach ludzie pędem stają się z nar i stają na baczność, każdy u swego posłania. Brzęk kluczy i kroki w korytarzu.

Drugi przenikliwy gwizd. Z niesłychaną szybkością ludzie odbiegli od nar i podwójnym szeregiem uszykowali się pod ścianą naprzeciwko drzwi. Wchodzą policjanci.

— Kolejno. Odlicz!

— Raz! Dwa! Trzy! Cztery... Dziesięć!... Czternaście!... pośpiesznie odzywały się głosy. Jednakowoż starszemu policjantowi coś się nie podobało: jął groźnie wymyślać i wskazał na kogoś. Jeden z jego podwładnych dwoma razami pałki ukarał „przestępcę".

Po dwóch minutach znowu gwizdek. Ze wszystkich drzwi otwartych wbiegają na korytarz ludzie, chwytają odzież złożoną na ławkach. Jednym dokładnym rzutem koszulę wciąga się na ramiona, a ręce już łapią buty. Równomierny hałas panuje w korytarzu od wichru tego błyskawicznego ubierania się. Pośpiech jest zrozumiały: trzeci gwizdek — i wszyscy zastygają po komendzie „baczność"... i biada temu, kto nie zdążył się odziać, kto stoi w jednym bucie, albo ze swetrem w ręku. Osobliwie wystrzegać się trzeba, aby w zamęcie nie pomylić własnej odzieży z cudzą.

Gwizdek — zaścielać posłania.

Gwizdek — przygotować się do śniadania. Z menażkami w rękach, ludzie tłoczą się u drzwi, czekając następnego sygnału. I oto, na dany znak, pierwsza sala runęła w korytarz. Z chyżością rzuconego kamienia ludzie wyskakują parami, bo w tym szalonym pędzie koniecznie trzeba utrzymać szyk par. Z ostatnią parą sali pierwszej łączy się pierwsza para sali następnej, potem trzeciej, czwartej... Przebiegłszy pędem długi korytarz, potok ludzki skierował się po schodach na dół, lunął w korytarz dolny i zatrzymał się u drzwi kuchni. Nieskończony potok ludzki, wijący się wzdłuż zakrętów schodów, zamarł... Zastygł. Po czym wszczyna się powolny ruch; to pierwsi już otrzymali śniadanie — kęs chleba i kubek „żuru" — niemożliwie kwaśnego rozczynu z żytniej mąki. Ci, którzy otrzymali, szybko odchodzą na bok ustępując drogi następnym. Głodni ludzie z chciwością wilków pochłaniają chleb. Lecz oto — ledwo przyszła kolej na ostatnich, gwizdek oznajmia znów, że śniadanie skończone.

Bieg do góry, do sal. I znów gwizdki: „Do ustępu!"

Ustęp w Berezie. Ach, z jaką pogardą chciałbym opowiadanie swe cisnąć w twarz urzędowym paryskim i londyńskim „obrońcom kultury europejskiej", humanitarnie ubolewającym nad ruiną „szlachetnej" rzeczypospolitej panów polskich.

W każdej sali, gdzie śpi 28 ludzi, stawiany bywa na noc maleńki kubełek. Co rano zawartość kubełka przelewa się ponad krawędzie, wycieka na podłogę. Ludzie wściekają się, lecz opanować się nie mogą, oddają mocz do przepełnionego naczynia; wynik jest taki sam, jak gdyby wprost moczyli podłogę. Dyżurni więźniowie biedzą się także - wszak cieczy nie ma czym zebrać z podłogi, policjanci zaś, urągając, będą pałami uczyli schludności. Jednakowoż przed „terminem" nikogo do ustępu nie puszczą, chociaż drzwi są otwarte.

W oczekiwaniu na ów „termin", ludzie stoją, czerwoni od naprężenia, oblani kroplami potu od niewiarygodnych wysiłków. Nareszcie — gwizdek. Ludzie z pierwszej sali pędzą przez drzwi, niknąc przepisanym, wściekłym cwałem obok policjantów, przez cały korytarz i wpadają do maleńkiej komórki ustępu. Tu jest wszystkiego trzy miejsca, wtargnęło zaś tutaj ludzi około trzydziestu. Na każdą salę wyznaczono trzy minuty włączając w nie także bieg przez korytarz. Zagadnienie rozstrzyga się po prostu: „na podłogę". Mimo to, miejsca zaledwo starczy dla połowy mieszkańców pierwszej sali. Druga połowa czeka na swą kolej.

Policjant wszakże już woła, grożąc: „koniec s..nia". Pierwszy okrzyk rzadko odnosi skutek, i strażnik, wdarłszy się do ubikacji, łupi pałką po grzbietach i głowach ludzi. Marsz!

Cel — a właściwie — sal — jest dużo: siedemnaście. Po każdej pozostaje ślad. A gdy podłoga korytarza już pokryta jest cuchnącymi śladami, policjant nagle zatrzymuje jedną celę:

— Co wy biegacie, jak senni? Już ja was podpędzę — szydzi.

I zaczyna się: Padnij! Wstań! Padnij! Wstań!

Podłogę wycierają ciała ludzkie. Odzież, ręce, wszystkie pory przesycone są smrodliwym kałem...

Opis mój, być może, grzeszy jaskrawością lub nawet nieprzyzwoitością. Ale przecież w pewnych stolicach Europy nie odwracają nosa od samych wynalazców tej dzikiej katuszy, owszem, podejmują ich życzliwie, jako przedstawicieli sponiewieranego humanizmu europejskiego.

Nie upadałem na duchu, nie chciałem poddawać się rozpaczy. Dotychczas, we wszystkich ciężkich minutach swego, na ogół niełatwego życia, dodawałem sobie otuchy magicznym słowem: „Nic to. Bywa i gorzej". Spróbowałem zastosować tę formułę i w Berezie. Ze zdumieniem jednak spostrzegłem, że tutaj ona nie działa. Nie, gorzej niż w Berezie, nie bywa. Nic od Berezy gorszego spotkać mnie nie mogło.

Pamiętam, raz, podczas „ćwiczeń", gdyśmy, jak zwykle, pełzali, przysiadali, wciąż pocieszałem siebie: „Głupstwo! Można wytrzymać! Nic strasznego!". Wydawałem się sam sobie potem pełen animuszu i rad byłem z tego. I raptem, przechodząc obok ciemnych okien naszego domu, ujrzałem w szybie odbicie: na twarzy mojej leżała pieczęć takiej rozpaczy beznadziejnej, że się wzdrygnąłem.

Co mnie dręczyło najboleśniej, choć, być może, na pół świadomie, to zupełny brak tego stanu ducha, jaki powinien znamionować rewolucjonistę: brak ducha walki, oporu, dyscypliny i prężności organizacyjnej, niezbędny nawet w obliczu odwrotu i klęski. Nie wiedziałem i nie zastanawiałem się nad tym, jakie powinny być tutaj formy naszego oporu. W więzieniu, gdy bito jednego, podnosiło krzyk całe więzienie, tłuczono szyby, łamano nary. Gdybyśmy w podobny sposób postąpili w Berezie, wykoszono by nas karabinami maszynowymi. Różnicę rozumiałem dobrze: w więzieniu straż jest względnie szczupła, i żeby bunt taki stłumić, należy sprowadzić policję, a jeśli policję kieruje się do więzienia, w mieście wśród robotników poczynają się zaburzenia. Tutaj zaś na dwóch znękanych więźniów wypada jeden uzbrojony tęgi oprych; i ukrywszy się od świata za bagnami Polesia, mogli sobie z nami wyprawiać, co im się podobało. I mimo wszystko, czułem, że nawet zginąć pod deszczem kulomiotów jest może lepiej niż biernie poddawać się przemocy. Wszak jeśli z naszej strony nie ma żadnego protestu ani oporu, to znaczy, że pod ciosami pałek kruszyła się moc przekonań rewolucyjnych, wiara i solidarność, godność własna, wiara w siebie — najdroższa i największa ze wszystkich wiar.

Nie rozmyślałem o tym: lecz czułem, że ginę, że bez wewnętrznej więzi moralnej moje siły fizyczne zaczną szybko wątleć. Lecz oto, poprzez maskę ślepego posłuszeństwa, poprzez pozory doszczętnego zdławienia naszej woli, naszej osobowości, odkryłem, że i tutaj opór nasz trwa, że i tutaj toczy się nieprzejednana, wielka, stanowcza walka.

Jakoś przypadkiem znalazłem się w grupie pracującej w „betoniarni". Kazano mi przesypać łopatą zmarznięty piach, ażeby nie było w nim zlodowaciałych grudek. Niebawem przysunął się do mnie młodziutki więzień, prawie malec. Nie rozprostowawszy się, udając, że niby to całkowicie pochłonięty jest pracą, malec jął mi perswadować: „...Trzeba się trzymać. Nie bój się, wdrożysz się, przywykniesz, nic to. Ja już tu sześć miesięcy... Najważniejsze, pilnuj swej uczciwości. Bo tu dają do podpisywania deklarację — na prowokatora. Ale na to godzi się tylko ostatni łajdak. Lepiej zdechnąć. Od dawna chcemy z wami pogadać, lecz was, nowych, ciągle trzymają osobno. A przy tym, nie wiedzieliśmy nawet, do kogo podejść. Wszak na waszej sali już są szuje — deklaranci. Trzeba przeciwdziałać. Trzeba..."

(Dalszy ciąg nastąpi)

ROKOSSOWSKI POD STALINGRADEM

(Dokończenie ze strony trzeciej)

(słucha). Dobrze, zgadzam się. Przekażcie moje podziękowanie wojskom waszego frontu za wspaniałe i pomyślne działania wojenne.

Rokossowski: Dziękuję, towarzyszu Stalinie, niezwłocznie ogłoszę we wszystkich jednostkach.

PUNKT OBSERWACYJNY LUDNIKOWA

Czujkow, Ludnikow, Gurow, dziennikarze, fotografowie, operatorzy filmowi. Wszyscy w doskonałych humorach. Zbliża się koniec.

Czujkow: Wspaniale walczą twoi ludzie, Iwanie Iliczu.

Ludnikow: Rozumieją, towarzyszu dowódco, że wchodzą do historii.

Śmiech.

Gurow: Popatrzcie, popatrzcie, biała flaga!

Na wprost punktu obserwacyjnego, na poczerniałej od dymu okopconej ścianie huty — biała chorągiew.

Głosy: Poddają się!

Czujkow: Przerwać ogień!

*

SZTAB ROKOSSOWSKIEGO
Woronow. Rokossowski.

Woronow: *(przy telefonie)* Towarzyszu Stalinie, jestem nieskończenie szczęśliwy, że mogę zameldować wam co następuje: działania wojenne w rejonie Stalingradu dziś o godzinie drugiej zostały zakończone.

MOSKWA. KWATERA GŁÓWNA

Stalin: *(wzruszony — przy telefonie)* Bardzo się cieszę, winszuję. Dziękuję wam, towarzyszu Woronow. Dziękuję towarzyszowi Rokossowskiemu, jego oficerom i żołnierzom. Wydajcie oficjalny komunikat. Czekamy na was.

Tytuł:

„Do Naczelnego Dowódcy towarzysza Stalina. Spełniając Wasz rozkaz, wojska frontu dońskiego o godzinie 16, 2 lutego 1943 roku zakończyły rozbijanie i likwidację okrążonego w Stalingradzie ugrupowania przeciwnika.

Zostały całkowicie zniszczone i częściowo wzięte do niewoli: 11 korpus piechoty, 8 korpus piechoty, 51 korpus piechoty, 14 korpus pancerny, 14 korpus piechoty, 48 korpus pancerny, ogółem 22 dywizje...

Wzięto do niewoli ponad 91 tysięcy jeńców, w tej liczbie 2.500 oficerów, 24 generałów, w tym 1 generał feldmarszałek i 2 generałów-pułkowników".

Rokossowski czyta rozkaz przed frontem dywizji.

Rokossowski: Rozkaz Naczelnego Wodza do wojsk frontu dońskiego: „Do przedstawiciela sztabu generalnego marszałka artylerii towarzysza Woronowa. Do dowódcy wojsk frontu dońskiego generała-pułkownika Rokossowskiego. Winszuję wam i wojskom frontu dońskiego pomyślnego zakończenia likwidacji wojsk nieprzyjacielskich pod Stalingradem. Wyrażam podziękowanie wszystkim żołnierzom, dowódcom i oficerom politycznym frontu dońskiego za wzorowe działania wojenne. Naczelny wódz — Stalin. Moskwa — Kreml, 2 lutego 1943 roku.

Orkiestra gra marsza.

Woronow: Towarzysz Stalin niech żyje!

W odpowiedzi rozlega się potężny okrzyk: Niech żyje! Zdjęcia zdobytej broni, kolumn jeńców i na tym planie —

Tytuł:

Taki był koniec jednego z największych starć w historii wojen...

*

MOSKWA. KWATERA GŁÓWNA. GABINET STALINA.

Stalin, członkowie rządu, Wasilewski.

Wasilewski: *(przy mapie referuje sytuację na frontach)* Zajęte zostały: Staryj Oskoł, Izjum, Barwienkowo, Bałakleja, Batajsk, Jejsk... Nasze jednostki doszły do brzegów morza Azowskiego...

Otwierają się drzwi, wchodzi Rokossowski i Woronow. Stalin idzie na ich spotkanie. Rokossowski jest bardzo zmieszany takim przyjęciem. Stalin bierze jego dłoń w obie ręce.

Stalin: Doskonale się udało, towarzyszu Rokossowski! Doskonale, towarzyszu Woronow. Dziękuję, dziękuję w imieniu nas wszystkich, w imieniu całego narodu radzieckiego.

Defilada na Placu Czerwonym; na tym tle — Tytuł:

„Od Stalingradu gwiazda faszystowskiej armii niemieckiej zaczęła gasnąć. Po pogromie stalingradzkim, jak wiadomo, Niemcy nie mogli już przyjść do siebie".

STALIN

Powoli i uroczyście księga-kronika zamyka się.

Mikołaj Wirta
przełożył **Tadeusz Mongird**

STANISŁAW ZIELIŃSKI

Do wypowiedzi o współczesności

PIKĄ W OKO

Czekałem cierpliwie aż Gucio upora się z francuskim ciastkiem.

Ja takich nie zamawiam. Trudno być w XX wieku niewolnikiem srebrnego widelczyka i rozsypującego się jak kwas borny ciastka. Czasami ulegam pokusie, ale gdy kelnerka poda mi „język teściowej", to po męsku biorę go w rękę i gryzę — jak człowiek pracy kromkę razowego chleba.

Nad głowami siedzących gromadził się dym szary i gęsty. Zbliżało się południe. W drzwiach kawiarni pojawiły się nowe postaci. Kobiety i mężczyźni z niecmylną znajomością terenu przeciskali się między stolikami i łączyli z gronem stałych bywalców.

Gwar był tęgi, więc pokrzykiwano już w żarliwych sporach, bo słyszany chciał być każdy. Coraz niżej chyliły się głowy i nieomal stykały nosy. Łysiny duże i małe, czupryny czarne, siwe i mieszane, przetkane kolorowymi fryzurami kobiet, tkwiły w pasmach tytoniowej mgły. Kawiarnia przypominała wnętrze skromnej wędzarni, gdzie dorsze i flądry wiszą gęsto, a łosoś trafia się rzadko.

Za oknami świeciło słońce. Padające z ukosa smugi barwiły dym na niebiesko. Po suficie pełzały jesienne muchy. Słabsze podały płackiem między rozprawiających ludzi.

— Padają muchy jak płatki róż... — rzekłem do Gucia, który z dna filiżanki wyskrobywał zmieszany z fusami cukier.

— I jesienny zlatuje liść. Czas iść, czas iść... — odpowiedział słynny autor wielotomowej powieści. I rzeczywiście: przedostał się do wyjścia i poszedł na drugą stronę ulicy, gdzie pośród krzewów i drzew stał miejski szalet.

Gdy Gucio wrócił, przystąpiłem do sedna sprawy.

— Słuchaj — Jurek, to talent. Ja znawcą nie jestem, ale wyczucie mam i widzę, że facet ma ikrę! Sam ocenisz go najlepiej. Lada chwila tu będzie. Mówiłeś, że chcesz zmienić mieszkanie? Kocio, to mój kumpel z obozu. On dużo może.

— Z łazienką? Gdzież jest ten Jurek!

Zamiast Jurka weszła do kawiarni Docia Wenecka. Machnęła rzęsami i krzyknęła pełnym głosem: — Cha-cha! Cha-cha! Nareszcie jesteście!

— O łazience pamiętaj! Telefon także by się przydał... — mruczał Gucio całując dłoń Doci. — Znajdę coś dla chłopca...

— Proszę pani! Dla mnie małą kawę i jakieś ciasteczko. Obojętnie jakie! Niechże pani sama wybierze, ja panią tak proszę... O, nie, tylko nie sernik! I nie ponczowe! — paplała szybko Docia do uśmiechniętej zawodowo kelnerki, a do nas: — Cóż za podła kawa...! Podobno w całej Warszawie nie ma porządnej kawy? Wszędzie ten Santos i Santos! A każdy wie ostatecznie co to jest Santos! Acha, dlaczego świeci słońce?

— Eche... — bąknąłem. Ktoś mi już opowiadał ten dowcip. Gucio szarpnął wargę i spytał zaciekawiony: — Skąd wiesz?

— Dobre sobie! Skąd wiem! Słyszałam! Dlaczego świeci słońce?! — powtórzyła z uporem Docia. Kiepską miała pamięć i łatwo zapominała pointę.

— Pytam skąd wiesz, gdyż właśnie w pogodny, nasycony blaskiem jesiennego już, ale jeszcze ciepłego słońca dzień, kończy się moja nowa powieść. Rozdział ostatni, to scena niezwykle plastyczna, żal mi jej nawet do książki, kto wie, może zrobię film? Rzecz dzieje się w wielkiej piekarni mechanicznej...

— Cóż za wyrodek samolubny! Dajże mi przyjść do słowa! Dlaczego, zaraz, co ja mówiłam? Dlaczego świeci słońce!!

Trąciłem Docię kolanem. Westchnęła i umilkła. Gucio zapatrzony w dymek snujący się z papierosa, mówił nie zwracając uwagi na nas: — To będzie więc tak...

— To bardzo ciekawe — powiedziałem, gdy Gucio skończył. — Pisz, czas upływa. Co z Jurkiem? Powinien już być!

— Tak, tak, pisz, Guciu! To świetne! To po prostu za dobre na dziś! Takie rzeczy trzeba pisać, bo to nowy czytelnik, i nowa tematyka, i problemy i w ogóle wszystko nowe. Nowe książki dla nowych ludzi! Wzruszające! Jak wiecie, byłam nad morzem, ale to nie było takie chlapu — chlapu i koniec! Brałam udział w spuszczaniu nowego statku na wodę. Cały zbudowany przez robotników! Naturalnie nie dałam się długo prosić, choć bałam się o głos, bo to i morze, i chrypka, i jod w powietrzu i w ogóle Bóg wie co może się stać.

— I stało się? — zapytał ze złością Gucio.

— Nie czytałeś prasy? Brawa dostałam wspaniałe! Bisowałam do upadłego, rąk nie czułam, tyle rozdałam autografów. Poczciwcy! Wiecie, to przelewanie kropli swego talentu w tę chłonną jak piasek masę ludzi, daje zadowolenie graniczące z fizyczną kobiecą przyjemnością. Wspaniała impreza. I statek taki przyjemny. Cały czerwony. Kwiatów przysłano mi tyle, że sześć razy musiałam się fotografować! Trudno przecież suszyć kwiaty i wpadać w drobnomieszczańskie średniowiecze lub zielarstwo! A potem była wspaniała rozróba u Jolanty. Nic nie było w prasie? Naturalnie! Prasa nie nadąża!

Gucio liczył muchy na ścianie. Jurek nie nadchodził. Powiedziałem: — Z tym przelewaniem waszych talentów niełatwa sprawa. Wczoraj chciałem kupić nowy numer „Piki" w kiosku na Żoliborzu. Kobiecina odpowiedziała zdziwiona: „Amerykanów już z rok nie trzymam! Może pan weźmie „Sfinksy"?". A bądź co bądź „Pika" ma duży nakład.

— Poważne pismo. Czytałeś mój fragment większej całości? Był w poprzednim numerze.

— Ależ Guciu! Oczywiście! Proszę pani! Szarlotkę z kremem dla mnie! O tej porze czuję straszliwy głód, po prostu muszę coś zjeść.

— Co tam szarlotka! Jest literatura, czy nie ma? — krzyknął nieoczekiwanie Gucio.

— Nie ma! — odpowiedziała kelnerka.

— Jakto nie ma! Co się pani wtrąca!

— Pani pytała o szarlotkę, więc mówię: nie ma. Kremu też już nie ma.

rys. Jerzy Srokowski

— O literaturę, kobieto, pytam!

— Proszę pana, reklamacje do szefa. Wczoraj była awantura o drożdżowe z morelami, dziś znów o literaturę!

— To moja wina — wtrąciła Docia. — Przepraszam panią. Niech mi pani da za karę choćby sernik! Już się nie gniewamy?

— Wracam do twego pomysłu — powiedziałem do Gucia. — Masz obraz piekarni. Widzisz budynek, maszyny, bez trudu poznasz szczegóły techniczne. Masz tło, ale czy widzisz, czy czujesz ludzi? Czy znasz ich życie? Ich radości, dążenia, niepokonane jeszcze kłopoty? Te sprawy wymagają spojrzenia z bliska.

— Tobie się wydaje, że trzeba koniecznie jechać na Pragę, czy na Żerań, do kopalni, czy stoczni. Że musi być robotnik z Wuzetu, czy górnik z „Ignacego". Ludzie, mój drogi, są wszędzie. To, o co słusznie zresztą zapytałeś, opracowuję od wielu tygodni. Nawet kawiarnia jest teraz dla mnie terenem pracy. Obserwuję. Prawie nie wychodzę z domu. Pracuję. Ludzie! Wystarczy spojrzeć wokół!

— Dobre sobie! obejrzałem się i zobaczyłem Celopskiego! Mówią, że zdolny, że talent! Ja sam dopóki słuchałem co on do siebie gada, myślałem — geniusz! A teraz wiem: beztalencie i cham!

Przy sąsiednim stoliku rozprawiał ze swadą Celopski. Podkreślał słowa umiejętnymi gestami. „Dogłębna analiza", „socrealizm", „degrengolada" i „aspekt" splatały się w jego ustach wdzięcznie, jak bobkowe listki na jubileuszowym plakacie.

— To człowiek dawno związany z teatrem. Powinnaś go znać sprzed wojny.

— Znać go mogła zielona papuga, albo dywanik z którym biegał pod pachą po podwórkach! Ale nie ja! Proszę ciebie, jak to wygląda? Posłałam do niego przyjaciółkę Miecia, żeby biedaczce wynalazł coś odpowiedniego. I co? Przyjął ją jak dziewczynę uliczną!!

— Chciał płacić?

— Przestań! Kazał jej wracać tam skąd przyszła! Bałwan!

— Podobno ma dobrą opinię w EMKISIE. Chce założyć wioskę góralską na Bielanach. Niecodzienny pomysł.

— Przestańcie mówić o sprawach biurowych! Idziemy! Śmierdzi tu jak w smolarni! Proszę pani, co to takiego?

— Asfalt wylewają na ulicy. Niech Zygmunt włączy wentylator! — krzyknęła kelnerka do szatniarza.

Portier podał Guciowi welwetowy płaszcz z kapturem, Gucio portierowi uścisnął dłoń i wyszliśmy z kawiarni za ustrojoną w zielony lejbik Docią.

Na środku jezdni klęczał robotnik. Drewnianą kopyścią wygładzał parujący asfalt. Drugi wywalał z żelaznej taczki czarną maź.

— Ot i masz robotników! — wykrzyknął Gucio. — Tuż przed nosem!

— Właśnie dla nich śpiewamy, piszemy, koncertujemy. Dla nich i o nich — dodała poważnie Docia i ujęła Gucia pod ramię. — Swoją drogą robi się u nas dużo! Tu dziura, tam dom, co dzień coś nowego. Tak, tak, robi się.

rys. Jerzy Srokowski

— Możemy podejść i w ciągu sekundy zdobyć potrzebne realia — mówił cicho Gucio. — To bardzo blisko. Na przykład spytajmy, czy pracują systemem trójkowym.

Wiesz, tę książeczkę przeczytałem jednym tchem. A mnie byle co nie bierze!...

— Jest ich zaledwie dwóch.

— Grunt, że załatali dziurę. Była okropna! Jechałam samochodem — wiecie z kim — a szofer gapa wjechał prosto w dziurę. Myślałam, że wszystkie resory popękają w szewrolecie. Tak podskoczyłam. Okropne.

— Ja widzę trzech? — Gucio poprawił okulary.

Przy kotle, w którym topiono zapewne asfalt, stał Jurek! — powiedziałem więc szybko:

— To jakiś redakcyjny ciura. Na pewno materiał dla działu miejskiego. Patrzcie! Samochód Kocia!

— Śliczny! I jaki długi! — krzyknęła Docia odwracając się gwałtownie i w tej chwili ryknęła przeraźliwie: — Ratunku! Aaaa!

Stanęła biedaczka na gorący jeszcze asfalt.

— Na chodnik z holenderskim kamaszem! — zawołał robotnik stawiając taczkę. Było już jednak za późno — na indyjskiej gumie i na brązowym zamszu została tłusta, ciemna plama. A na jezdni odcisk Dociowej stopy.

— To skandal! Świństwo! Bezczelność! — krzyczała Docia prawie płacząc. — Pierwszy raz mam pantofle na nodze! Mogłam nogę spalić! Guciu, powiedz im coś!! Dlaczego nie pracują w nocy?! Co za stosunki okropne!

— Bardzo słuszna uwaga! Takie rzeczy robi się w nocy i na jedenastą byłoby już gotowe! — powiedział surowo Gucio do robotnika, który zacierał ślad holenderskiego pantofla.

— Panie!... Idź pan na kawę! — odpowiedział robotnik podnosząc głowę.

— Czyż można spokojnie pracować? Taki typ niweczy watek myśli — mruczał Gucio, gdy odchodziliśmy. — Po prostu nie można pracować. Ten Jurek też ci się udał! Nie szanuje cudzego czasu. Bałaganiarz! A czy wiesz jakiego pochodzenia jest słowo bałagan? Widzisz! Jakuckiego! Oznacza on jurtę, czyli lepiankę. Są więc jurty lub inaczej bałaganv letnie i zimowe. Letnie, proszę ciebie...

— Guciu! Przestań! Jesteś wspaniały i cudowny! Podręczna kopalnia wiedzy skrzyżowana z talentem! Zaraz cię kopnę w kostkę. Pantofle zmarnowane...! O, idzie Celopski, no chodźże prędzej!

— Idziesz z nami na rybkę?

— Nie. — Byłem bez kapelusza i płaszcza.

— Nie odrywaj ludzi od pracy! Chodźmy, chodźmy, przejdź na prawą stronę, może te straszną plamę będzie mniej widać!

Przed kawiarnią robotnicy posypywali asfalt piaskiem. Skinąłem na przejeżdżającą taksówkę. Podając adres biura, z którego wyskoczyłem na pięć minut, posłyszałem strzęp rozmowy.

Robotnik ocierając dłonie o spodnie mówił do Jurka:

— To był pisarz? Literat? E, panie! — machnął ręką. — Piką takiemu w oko! A tej w umazanym kapciu — także samo.

Stanisław Zieliński

TADEUSZ KUBIAK

O doktorze, ogrodniczce i poecie

I

Doktór
Czy widziałaś tu w środku miasta,
pośród ludzi żywych, w miesiącu
gwiazd sierpniowych, jak z dna ruczaju
zza szyby — ręce wołające?

Ogrodniczka
Widziałam ręce gipsowe
w rękawiczce reniferowej.
Ej, jakie piękne rękawiczki
na wystawach naszego miasta!

Doktór
Piękne? Pokaż mi swoje dłonie!
Rękawiczki? No — dłonie! Prędzej!
Ach, jakie ciepłe, opalone.
Nie kłamiesz? To prawdziwe ręce?

Ogrodniczka
Zrywałam róże, zrywałam.
Wbiłam sobie kolec, wbiłam.
Widziałam krew na palcu, widziałam.
Ej, jakie piękne rękawiczki!

Doktór
Dotknij palcami moich skroni.
Ja kiedyś się uspokoję.
Mnie ścigają ręce wojenne,
odrąbane, odcięte dłonie.

II

Doktór
Świeco, zgaśnij. Słyszałem kroki.
Twarde stopnie dębowych schodów
uginały się pod butami,
w które ktoś żywe stopy obuł.
Byłem jednak spokojny. Nieludzko.
Był to spokój drzew, albo wody.
Skoro komuś ocalały nogi,
może z szumem wchodzić na schody.
Może iść, może biec — prędzej —
do fontanny, przy której anioł
do kamienia przykuty płacze.
Lecz cóż pocznie — śmieszny — bez ramion?
Tam w polowym szpitalu, w koszu
chirurgicznym — ręce... Tacy młodzi!...
Świeco zgaśnij. Słyszysz, do drzwi
ktoś naprawdę zapukał. Nie wchodzić!
Wszedł.

Poeta
Nie znamy się jeszcze...

Doktór
Znam!
Znam te białe rękawiczki z wystaw,
nadmuchane parnym powietrzem.
Zrzuci — pustka u rękawa błyśnie.
Nie zdejmować! Zdjął rękawiczkę.
Pięciopalcem strzepnął jak skrzydłem.

Poeta
Towarzyszu doktorze, pozwólcie,
ściskam dłoń, poeta X Y.

III

Doktór
Mnie ścigają ręce wojenne,
odrąbane, odcięte dłonie.

Poeta
Mnie ścigają ręce złoczyńców,
przed którymi dobrych chcę bronić.

Doktór
Sto rąk ropiejących odciąłem.

Poeta
Tysiąc rąk złych napiętnowałem,
tysiąc rąk skazałem na ogień,
bo spokojnym spokój wykradały,
bo spragnionym z rąk wytrącały
kubki z wodą,
bo młodym młodość,
starcom starość tak w nich wrośniętą
znów by chciały od serc odejmować.
Wiem — doktorze, jak ciężko biednie
żołnierzowi odbierać dłonie.

Doktór
Wiem — poeto, jak trudno dobrych
przed ręką złoczyńców bronić.

WŁADYSŁAW BŁACHUT

List do Redakcji

POCHWAŁA LISTONOSZA

W niezwykle ważnej społecznie akcji upowszechnienia czytelnictwa wśród mas chłopskich szczególna rola przypada dziś działającym na terenie wsi organom pocztowym tj. listonoszom wiejskim i kierownikom małych placówek pocztowych na wsi. Docierając częściej lub rzadziej do każdej gromady i kontaktując się bezpośrednio z chłopem, pracownicy ci wykonują równocześnie trudne zadania akwizytorów, kolporterów i popularyzatorów „słowa drukowanego" na wsi.

Oprócz mechanicznych funkcji doręczycielskich i manipulacyjnych spełniają oni doniosłą rolę pośredników kulturalnych między miastem a wsią, między dziennikarzem, publicystą i pisarzem a chłopem. W ten sposób skromni pracownicy pocztowi awansują do zaszczytnego tytułu przodowników postępu kulturalnego i gospodarczego dźwigającej się do pełnego życia wsi polskiej.

W okresie międzywojennym rządy reakcyjne, a w szczególności reżim sanacyjny, nie przywiązywały większego znaczenia do warunkującego postęp cywilizacyjny mas chłopskich „upocztowienia" wsi. Kierując się wyłącznie interesem handlowym, tj. względami opłacalności usług pocztowych, służbę listonosza wiejskiego w pełnym zakresie zaprowadzono jedynie w b. zaborze pruskim, tj. na terenie województw poznańskiego, pomorskiego i śląskiego.

Nic dziwnego, że w takich warunkach (chłop musiał wędrować kilometrami, aby zaprenumerować gazetę, a potem odbierał ją u sołtysa ze znacznym opóźnieniem i często mocno sfatygowaną) nakłady czasopism chłopskich były znikome, a czytelnictwo gazet na wsi w stanie zaniku.

Podobnie jak w innych dziedzinach, również i pod względem pocztowym wieś polska była wyraźnie upośledzona w stosunku do miasta. W przeszło 50-tysięcznej gromadzie pocztowców liczyliśmy na 31.XII.1938 roku zaledwie 5.823 listonoszy wiejskich, powołanych do obsługi przeszło 25-milionowej masy ludności chłopsko-robotniczej. Również telefon był na wsi — poza agencją pocztową, posterunkiem policji granatowej i majątkiem dworskim — zjawiskiem prawie nieznanym!

Zupełnie inaczej realizują te zagadnienia kompetentne czynniki w Odrodzonej Polsce Ludowej, zabiegając m. i. o powszechną rozbudowę kadr listonoszy wiejskich i organizując różne formy pomocy finansowo-technicznej dla tej kategorii pracowników pocztowych.

Tempo prac i dokonań poczty na tym odcinku jest — zwłaszcza w ostatnich dwóch latach — naprawdę imponujące. Liczbie 4.185 czynnych przed wojną na znacznie większym terenowo obszarze Państwa placówek pocztowych, przeciwstawiamy dziś 4350 pocztowych jednostek eksploatacyjnych, uwzględniających w daleko szerszym stopniu interesy wsi, a liczbie 5.823 listonoszy wiejskich na koniec grudnia 1938 roku — odpowiada w lipcu 1949 coraz sprawniej funkcjonująca kadra 10.089 listonoszy wiejskich, prawie w trzech czwartych obsługujących codziennie nasze rozrzucone gromady i osiedla wiejskie. W ostatnich tygodniach kadra ta została zwiększona do takich granic, że jeszcze do końca bieżącego roku listonosz wiejski będzie docierał c o d z i e n n i e do każdej wsi!

Tak znaczna rozbudowa kadr listonoszy wiejskich i uczęstotliwienie obsługi pocztowej wsi nie pozostały bez dodatniego wpływu na rozwój czytelnictwa w masach chłopskich. Wyrazem tego są zwiększające się z miesiąca na miesiąc nakłady czasopism, przeznaczonych dla zaawansowanych politycznie i bezpartyjnych mas chłopskich, a przede wszystkim wyraźny wzrost kadr s t a ł y c h (tzw. prenumerata zlecona) odbiorców słowa drukowanego na wsi, przy czym pojęcie „słowa drukowanego" rozciąga się nie tylko na tradycyjnie najpopularniejsze w ośrodkach wiejskich: gazetę czy kalendarz, ale również na wartościową, przez poszczególne wydawnictwo **planowo** wśród chłopów kolportowaną książkę. Pojęcie o osiągnięciach poczty i pocztowców na polu upowszechnienia czytelnictwa w masach chłopskich dają nam milionowe liczby rozprowadzonych na wsi czasopism w rodzaju „Przyjaciółki", „Rolnika Polskiego", „Gromady", „Chłopskiej Drogi" i innych, które powoli eliminują ze wsi klerykalnych „Rycerzy Niepokalanej" oraz różne „Niedziele" i „Dzwonki".

Trzeba bowiem wziąć pod uwagę to, że odciążony fizycznie i terenowo (obchodząc częściej zmniejszone rejony pracy) listonosz wiejski łatwiej daje radę w opanowaniu wzrastającego zapotrzebowania na „słowo drukowane" na wsi. Listonosz wiejski znajduje dziś więcej czasu na rozwinięcie akcji propagandowej na wsi i świadome zaspakajanie głodu czytelnictwa mas chłopskich. Wielkie znaczenie ma przy tym zainicjowana ostatnio akcja fachowego i ideologicznego dokształcania listonoszy wiejskich oraz podjęte współzawodnictwo listonoszy wiejskich w kolportażu prasy robotniczo-chłopskiej na wsi. Już obecnie ambicją każdego listonosza wiejskiego jest, aby w k a ż d e j chłopskiej chacie była przynajmniej jedna wartościowa gazeta stałym gościem, a wielu szczyci się przy tym specjalnymi osiągnięciami i raz po raz sięga po zaszczytny tytuł przodownika pracy na polu upowszechnienia czytelnictwa. Osiągnięcia te są odpowiednio premiowane zarówno przez pocztę, jak przez prasowe spółdzielnie wydawnicze, które ponadto walnie przyczyniają się do polepszenia i usprawnienia warunków pracy listonosza wiejskiego (rowery, peleryny).

W ten sposób zagęszczająca się ciągle sieć placówek pocztowych na wsi (1 placówka na 5 km²), zakrojona na szeroką miarę akcja telefonizacji wsi pod hasłem „telefon w każdej gromadzie" i wspaniałe osiągnięcia świadomych swej roli agentów i listonoszy wiejskich przyczynią się w znakomity sposób do odrobienia wiekowych zaniedbań na wsi, do szybkiego podniesienia mas chłopskich na wyższy poziom materialnego bytu i kulturalnego rozeznania.

Władysław Błachut

Dwie książki o ludziach pracy

ZOFIA DĄBKOWSKA

»GÓRNICY« JACKIEWICZA

Aleksander Jackiewicz: Górnicy, Poznań, Wielkopolska Księgarnia Wydawnicza, 1949, str. 188 i 4 nl.

„Górnicy" Jackiewicza — to obrachunek autora z hitlerowską śmiercią. Śmierć jako zjawisko biologiczne nie wywołuje w pisarzu głębszego oddźwięku. Chodzi mu o śmierć, która nieuchronnie wypływała z ówczesnych stosunków politycznych i społecznych kraju: o zagładę faszystowską. Tej zagładzie przeciwstawia Jackiewicz dwóch centralnych bohaterów „Górników".

Jeden z nich — Flis — młody, zdrowy, szczęśliwy. Myśl o śmierci nie wypływa z jego dyspozycji wewnętrznych. Śmierć przychodzi doń zzewnątrz, z mnożących się za Niemca katastrof kopalnianych, z wysiedleń, łapanek, „przychodzi z życia, rozmów, książek". Flis należy do nielicznej za sanacji grupy inteligentów pochodzenia robotniczego. Nie oderwał się od swego środowiska, mieszkańcy okolicznych osad uważają go za swego. W młodości był pepesowcem „po ojcu", sam politycznie się jednak nie angażował, używał raczej ze szczenięcym temperamentem życia, „jako takiego". Miał, co prawda, jak każdy górnik, poczucie niesprawiedliwości społecznej; rozważania jego jednak na tematy ustrojowe były mętne i nie obowiązujące. Podczas okupacji dojrzewa w nim szybko świadomość, że walka jest nieunikniona. Rozrachunki klasowe odsuwa jednak na czasy poniemieckie. Na razie zadowala się tymi możliwościami, które znajdują się w jego najbliższym zasięgu— wstępuje do AK. Przeświadczenie, że „się przyczynia", daje mu względny spokój, uodparnia na okupacyjną rzeczywistość.

Drugi bohater Kapeluch był ponoć niegdyś socjalistą. W starości chciał już tylko trwać. Namiętne, po górnicku uparte pragnienie życia dla wszystkich, w warunkach katastrofy narodowej a zwłaszcza klasowej, nabrało u Kapelucha charakteru naiwnego panteizmu.

„Wszystko żyje jak człowiek. Węgiel żyje i stół i nawet krzesło, no wszystko".

O zabitym na kopalni górniku mówi:

„...w trawę się zamieni, drzewo z niego wyrośnie, takie... był zdrowy chłop. Będzie se Wawrzek stał i szumiał, wiatr będzie mu przez liście wiał, nie będzie mu źle".

Wiara Kapelucha jest swoistym panteizmem pokonanych, którzy — po powszechnej klęsce — godzą się bodaj na życie wegetatywne.

Obaj więc bohaterzy „Górników" reprezentują dwa bieguny instynktu samozachowawczego — walkę i przybierającą mniej lub więcej mistyczne postaci rezygnację.

Flis bowiem nie poddaje się usypiającej filozofii Kapelucha, nie może go również zadowolić stanie z bronią u nogi. Gdy tragedia osobista każe mu zrewidować swą drogę dotychczasową — wstępuje do GL.

Postaci centralne „Górników" są wyposażone w kompleks cech i właściwości tworzących indywidualności typowe i niepowtarzalne jednocześnie: Kapeluch, ponury mistyk, uparty staruch wczepiony kościstymi łapami w jedyną dostępną mu formę życia — w pracę na kopalni — to jednocześnie ogrodnik, zielarz i trochę znachor. Zrośnięty nierozerwalnie z węglodajną ziemią, o twarzy podobnej do kory, o oczach tak jasnych, że prawie białych, ten ludowy filozof przypomina nam trochę bohaterów malarza górniczego Ociepki. Flis Jackiewicza to człowiek nietknięty przez mieszczańską dekadencję, żyjący pełną piersią, pracujący ze szczerego serca, kochający prosto i bez zastrzeżeń. Wciela on zdrowie i energię twórczych sił ludowych, jest jednym z nielicznych prawdziwie współczesnych, pozytywnych bohaterów w naszej literaturze.

Nie tylko postaci centralne „Górników" są żywe i barwne — wszystkie rzeczy w tej książce mają kształt plastyczny, swój dźwięk, swój zapach. A przy tym stworzone są z niczego, z paru skromnych powszednich wyrazów, wypranych z wszelkiego snobizmu, swobodnych i łatwych.

Takie są zalety książki. Jej zaś grzech pierworodny polega na tym, że całe życie polityczne, wszystkie motywy społeczne podane zostały w postaci suchego i bladego stenogramu.

„Po aresztowaniu Zaciery, zaczął „upolityczniać" swoją robotę, jak to dla siebie nazywał. Stwierdził, że ludzie, przez których dotąd broń otrzymywał, pochodzą z różnych przedwojennych ugrupowań politycznych. Byli to dawni członkowie BB i OZON, endecy, nawet pepesowcy, ale z tych „umiarkowanych", ostrożnych, jakim on sam był przed wojną. Z nimi nie czuł dziś żadnej wspólności...

Szukał tymczasem coraz intensywniej kontaktów innych. Jeździł do Sosnowca, odnajdywał tam przedwojennych prowodyrów robotniczych jawnych i tajnych, których przed wojną poznał przez Zacierę. Szukał przez nich łączności z Gubernią. Tam się tworzyły rewolucyjne organizacje wolnościowe, czasami nawet gazetki do Sosnowca docierały. Ale stałej łączności jeszcze nie było. Czekał Flis na nią cierpliwie".

Jeśli porównamy te strofy z tymi, w których jest mowa o miłości Flisa lub jego ojcostwie, przekonamy się jak linieją barwy pod piórem pisarza, gdy od spraw osobistych przechodzi do zbiorowych.

Skrzywienie proporcji między momentami „prywatnymi" a politycznymi i społecznymi sprawia, że mimo posiadanej przez autora dobrej znajomości terenu, mimo umiejętności lepienia postaci, mających wszelkie pozory życia — powieść jest jednak ahistoryczna.

Czemu autor nie wyzyskał wszystkich swych możliwości twórczych? Dlatego najpewniej, że pragnąc mówić o walce oderwał swych bohaterów od tych elementów, które decydowały o biegu historii. Dla Jackiewicza nie ulega wątpliwości, że jedyne siły, które ścierały się w owych czasach w Zagłębiu „nie na niby" ale na śmierć i na życie — to faszyzm i polska „komuna". Tymczasem „komuna" pokazana jest z odległości, w której zacierają się kontury i cechy indywidualne. Jest to moc anonimowa, prawie tajemnicza, rodzaj legendarnego (już!) wcielenia zwycięskiego oporu mas — moc usymbolizowana w książce przez jedyną postać Zaciery. O Zacierze zaś poza kilkakrotnymi dowodami jego najwyższej powagi i wpływu na górników, prawie nic nie wiemy i co gorsza odnosimy wrażenie, że i autor o nim nic nie wie: wysoki, chudy, ryży, a jeszcze asceta, „drewniany człowiek". To wszytko. Jego partyjna praca codzienna, stanowiąca treść jego życia odbywa się poza kulisami. Na scenę powieści Jackiewicz wynosi tylko kilka wyników tej działalności.

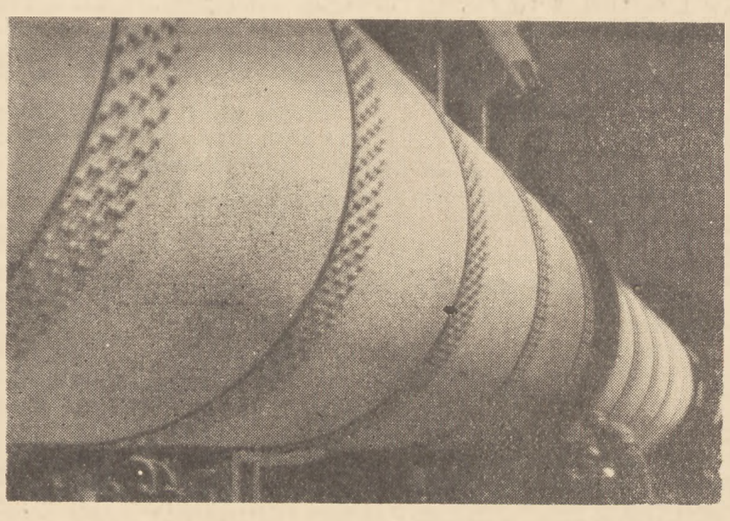

Halina Makarewiczowa — Przy piecu obrotowym (cementownia)

Otóż autor opisujący czasy okupacyjne wcale nie jest obowiązany dawać artystycznie wykończone postaci komunistów. I nie mniej — pod warunkiem umiejętnego wyboru odcinka opisywanej rzeczywistości — opowiadanie jego będzie realistyczne.

Nie można jednak było tego uniknąć przy problematyce, którą poruszył Jackiewicz i przy akcji rozgrywającej się na terenie robotniczym. Nie można było tego uniknąć zwłaszcza dlatego, że autor zadeklarował wielki wpływ Zaciery na losy Flisa, który w końcu przecież podejmuje się prowadzić dalej dzieło komunisty.

Błędem autora jest dalej zdekonkretyzowanie przezeń środowiska społecznego, z którym związany jest Flis: po to bowiem, by p r z e d s t a w i ć w sposób jednoznaczny jakąś klasę, trzeba ją p r z e c i w s t a w i ć innym. Kopalnie i osady górnickie w Zagłębiu są przez Jackiewicza mocno wyidealizowane: czytelnik odnosi wrażenie, że poza kilkakoma folksdojczami i pomylonym Kapeluchem, wszyscy ich mieszkańcy są w jednakowym stopniu gotowi do walki wyzwoleńczej. Nie ma wśród nich elementów drobnomieszczańskich, ani lumpenproletariackich, które wkońcu zasymilowały się przecież i nieźle dostosowały do warunków wojennych, nie ma skorumpowanej przez sanację inteligencji, nie ma starej policji. Nie ma jednym słowem zróżnicowań socjalnych, wszyscy są górnikami, wszyscy są Polakami. Dlatego też błyskotliwie i plastycznie zarysowane przez Jackiewicza sylwetki górników nie dają w sumie realistycznego, historycznie prawdziwego obrazu śląskiej k l a s y r o b o t n i c z e j.

Oczywiście nie wtedy płótno jest historycznie prawdziwe, gdy jest zatłoczone możliwie wielką ilością postaci. W „Śmierci urzędnika", gdzie Czechow daje niedościgniony obraz biurokracji carskiej, rzecz rozgrywa się między dwoma tylko aktorami — niższym czynownikiem-mieszczaninem i generałem - szlachcicem — są oni jednak najpełniejszym wcieleniem dwóch klas decydujących dla opisywanego zjawiska. Konflikt, w który ich stawia autor, w sposób nieodparty ukazuje całą hierarchię biurokratyczną, mechanizm rządzenia tysiącami gryzipiórków przez dziesiątki uprzywilejowanych, źródła i skutki ślepego posłuszeństwa, nieprzekraczalność przepaści klasowej i wiele innych rzeczy, których zresztą nie ma tu potrzeby wyliczać.

Wracając do Jackiewicza, wydaje się, że postaci biorące udział w powieści nie są rozstawione w punktach węzłowych i że sama fabuła „Górników" również te punkty węzłowe omija. Decydujące, dramatyczne konflikty książki zostały przeniesione „na wewnątrz", w strefę „sumienia" inteligenckiego. Ponadto środkami artystycznymi nie jest pokazane to, co Jackiewicz d e k l a r u j e: walka z faszyzmem była walką klasową na dwa fronty — przeciw obcej i rodzimej burżuazji.

Pomimo swych wad „Górnicy" zwiastują pisarza próbującego ująć właściwie mechanizm życia ludzkiego, szukającego dróg do szerokich historycznych uogólnień, umiejącego znaleźć nowych — w polskiej literaturze — bohaterów wśród klas decydujących w społeczeństwie współczesnym, przemawiającego językiem świeżym, wolnym od dekandenckiego mizdrzenia.

Zofia Dąbkowska

WOJCIECH NATANSON

„Nr 16 PRODUKUJE" WILCZKA

Jan Wilczek. Nr. 16 produkuje. Powieść. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1949; str. 278 i 2 nl.

Powieść Jana Wilczka „Nr 16 produkuje" wywołała żywą dyskusję. Wydaje mi się, że pominięto jednak dwie sprawy, o których chcę przede wszystkim napisać.

Akcja powieści rozgrywa się na Ziemiach Zachodnich. Otóż ziemie te, to niezwykłe i osobliwe zjawisko, skomplikowany zespół faktów pasjonujących. Było już kilka prób ukazania nam tej rzeczywistości: prób powieściowych (np. „Fundamenty" Pytlakowskiego), essayistycznych („Obrazki wrocławskie" Anny Kowalskiej), lirycznych (np. wiersze Jana Sztaudyngera), czy nawet komediowych („Znak" Barnasia) itd. Trudność zasadnicza polegała na ukazaniu ustawicznego fermentowania procesów, ich zmienności. Pisarstwo, szczególnie realistyczne, wymaga wyszukania jakiegoś punktu widzenia, pozwalającego ogarnąć artystycznie — horyzonty możliwie rozległe.

Wilczek starał się znaleźć taki właśnie punkt zaczepienia. „Nr 16 produkuje" jest powieścią o odbudowie jednego zakładu przemysłowego, od samych początków, niemal od punktu zerowego, od pierwszej chwili. Tak określony przedmiot powieści pozwolił na wyjaśnienie—i to bardzo sugestywne wyjaśnienie! — wielu spraw. Możemy śledzić trudne początki odbudowy—i radość, jaką budzi w budowniczych przezwyciężanie owych trudności. Wilczek jest pisarzem odważnym, nieraz zuchwałym. Nie ukrywa trudności i nie stara się upiększyć ponurych stron zjawisk. Dlatego właśnie powieść ta, o tematyce dość trudnej, budzi zaciekawienie, nie pozwala przerwać lektury. Od pierwszych niemal stronic nabieramy do autora zaufania, że rzetelnie i prawdziwie odpowie na pytanie: „Jak tam było? Jak to się stało? Jaki był istotny przebieg wypadków?" Fabryka cukierków, marmolady i czekolady w pewnym mieście śląskim (zdaje się: Wrocławiu) jest zrazu tylko rumowiskiem pilnowanym przez kilku strażników. Otrzymuje najpierw swego dyrektora i organizatora. Inżynier Stanisławski, który w Powstaniu Warszawskim stracił żonę, a potem przebył obóz koncentracyjny, przypadkowo jedzie przez miasto, gdzie znajdowała się niegdyś owa fabryka niemiecka. Nie od razu i nie bez psychicznych oporów godzi się na objęcie funkcji dyrektora. Poprzez jego przeżycia, przez pryzmat jego pracy, woli, obaw, kłopotów i osiągnięć — pokazuje Wilczek proces odbudowy fabryki, a poprzez ten proces daje nam wyczuć dynamikę spraw, które w trudnym roku 1945 działy się na Ziemiach Zachodnich, i równocześnie dynamikę doniosłych przemian ustrojowych, społecznych.

Zapewne, że szczęśliwy los dopomaga Stanisławskiemu i jego współpracownikom; mógłby ktoś nawet zauważyć, że owa interwencja losu zsyłająca raz po raz ludzi dobrej woli i przypadki fortunne, sprawia wrażenie sztuczności. Ale byłby to wniosek niesprawiedliwy i powierzchowny — z dwóch powodów. Najpierw dlatego, że Wilczek pokazuje nam nie tyle skutki pomyślnego zbiegu okoliczności, co umiejętność bezzwłocznego wyzyskania tych faktów przez kierowników fabryki. Nawet złemu graczowi nieraz pomaga fortuna, lecz tylko dobry umie wyzyskać stworzone przez nią szanse. Tak samo i w powieści Wilczka. Że wybitny specjalista cukiernik, majster Klawer akurat się znalazł na terenie fabryki, wracając z obozu — to był przypadek. Lecz, że właśnie Stanisławski w lot ocenił

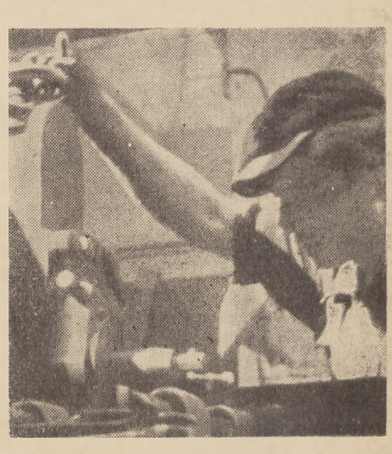

Fortunata Obrąpalska — Młody przodownik

i zrealizował wynikające stąd możliwości — to już świadoma działalność twórczego człowieka. Wspomniałem także, iż Wilczek nie pomija w swej opowieści ani trudności przedsięwzięcia, ani zjawisk ujemnych. Trudności są spowodowane brakiem ludzi, zniszczeniami wojennymi, niechęcią mieszkańców niemieckich, chaosem organizacyjnym, brakiem gotówki itd. Zjawiska ujemne, to inwazja na Ziemie Zachodnie elementów szabrowniczych, karierowiczowskich, wazeliniarskich, spekulujących, hochsztaplerskich. Figura Wierudzkiego, który potrafi się przejściowo wysunąć aż na stanowisko współdyrektora fabryki i załatwia sobie przy tym różne interesy, — jest charakterystyczna. Tym wyraźniej zarysowuje się na tym tle postaci prawdziwych twórców organizującej się fabryki.

Druga sprawa, którą chcę poruszyć — to interesujący stosunek Wilczka do produkcji przemysłowej, czy raczej sprawa człowieka tkwiącego w procesie produkcji. Jest to, jeśli się nie mylę, w naszej powieści zjawisko nowe. Stefan Żółkiewski, pisząc na ogół z uznaniem o powieści Wilczka ganił ją jednak za niedostateczne pogłębienie psychologiczne. Wydaje mi się, że sąd ten nie był słuszny. Powieść Wilczka to próba pokazania jak kształtuje się psychika człowieka w tych nowych warunkach ustrojowych, które wartość jednostki określają poprzez jej stosunek do wykonywanej pracy. Scena uruchomienia pracy na oddziale fabrykacji cukierków należy do najlepszych, najwymowniejszych fragmentów powieści.

Są oczywiście w utworze Wilczka pewne słusznie mu zarzucane chropowatości stylu, jest niedokrwistość pewnych figur, niedostatki kompozycji. Ale te braki równoważy odwaga autora, jego pragnienie, by uniknąć utartych dróg. Dzieło literackie trzeba mierzyć także i poziomem jego ambicji. Szczególnie dwie wartości literackie pociągają mnie w tym utworze: śmiała próba ujęcia niezwykłego zjawiska dziejowego na pewnym terenie oraz eksperyment powiązania wiedzy o produkcji z rozszerzeniem zasobu naszych wiadomości o działającym, myślącym, powiązanym ze zbiorowością człowieku.

Wojciech Natanson.

STANISŁAW MARCZAK-OBORSKI

NARESZCIE DOBRA „BAJKA"

(Sztuka Swietłowa w teatrze szczecińskim)

W repertuarze trwającego obecnie Festiwalu Sztuk Radzieckich „Bajka" Michała Swietłowa zajmuje szczególne miejsce. Wśród wielu dramatów pisanych metodą całkowicie realistyczną, jest pozycją opartą na elementach fantazji, na wolnej grze wyobraźni, na motywach klechdy ludowej i awanturniczych przygód marzonych w dzieciństwie. Równocześnie jednak utwór Swietłowa odcina się wyraźnie od tzw. repertuaru poetyckiego, do którego przyzwyczaili nas autorzy mieszczańscy. Po pierwsze — opiera się na żywo zarysowanej akcji, a nie na nastrojowości, która przesyca sztuki wspomnianego typu. Po drugie — i ważniejsze — przy całej baśniowej scenerii, związany jest z konkretnym tłem społecznym. Dlatego różnice między „Bajką" a pozostałymi sztukami Festiwalu mają charakter odmienności metody pisarskiej, a nie inności ideologicznej.

O cóż chodzi w tej historii? — Na wieczorynce studentów radzieckich — geologów rzuca ktoś pomysł, aby młody poeta opowiedział bajkę, w której wezmą udział zebrani. O czym? Ano o złocie, przyjaźni, odwadze. I Wania opowiada. Prowadzi kolegów przez tajgę, przez kopalnie złota — do tajemniczej doliny, do dziwnej groty, gdzie rozgrywa się finał awanturniczych perypetii. Poszukiwaczy tropią przeciwnicy, jest wśród nich Kuławy, przypominający złego ducha z gadek ludowych. Poeta miesza celowo elementy fantastyki z realnymi. Sekret ukrytych skarbów wyjawia najmłodszemu uczestnikowi wyprawy umierający staruszek — zupełnie jak w książce dla dzieci. Ale kiedy na przykład zagubionym w tajdze zjawia się na odsiecz kierownik kopalni, tłumaczy swoje niespodziewane przybycie w sposób jak najbardziej życiowy: dostał urlop i postanowił go spędzić w gronie przyjaciół.

Ideowa młodzież komunistyczna występująca w roli bohaterów sztuki pozwala autorowi na wydobycie sensu społecznego zdarzeń, na zachowanie autentyczności reakcji psychicznych, wreszcie na dużą bezpośredniość sytuacji. Klimat baśniowy stwarza poeta subtelnymi środkami dramatopisarskimi. Akcja toczy się w dwu płaszczyznach: widzimy jak koledzy Wani wchodzą w tok opowiadania i wraz z całym obrazem scenicznym przenoszą się w tajgę. Rzeczywistość mieszkania moskiewskiego, w którym opowiada się bajkę reprezentuje najmniejszy z towarzystwa — chłopak Szurik, który w przerwach zdaje swojemu koledze relację z przebiegu zabawy.

Najoryginalniejszym chwytem Swietłowa jest rozwiązanie sprawy „czarnego charakteru". Tajemniczym prześladowcą wyprawy okazuje się... Wania, który jako autor bajki zabija przy końcu — samego siebie, a właściwie swojego, wymyślonego dla celów literackich, sobowtóra.

Metaforę poetycką utworu spina efekt końcowy. Oto po skończonym opowiadaniu zjawia się Profesor, aby zawiadomić swoich uczniów o mającej się odbyć ekspedycji geologicznej. Przygody i wrażenia wyprawy powtórzyć się mogą w rzeczywistości. Tak zamyka się krąg romantyzmu i realizmu, poezji i życia, marzenia i walki.

Krystyna Feldman (Szurik) i Lidia Wysocka (Katia)

„Bajka" nie stanowi łatwego zadania dla teatru. Świadczy o tym fakt, że dwie dotychczasowe inscenizacje w Warszawie i Katowicach nie sprostały utworowi. Z tym większym uznaniem zanotować należy odwagę trzeciego reżysera tej sztuki na naszych scenach — Zbigniewa Sawana. Przedstawienie w Państwowym Teatrze Polskim w Szczecinie było — powiedzmy to od razu — ciekawe, ładne i udałe.

Inwencja Sawana poszła przede wszystkim w kierunku uchwycenia poetyckiej i bajkowej atmosfery sztuki. Dopomogli mu w tym walnie twórcy oprawy plastycznej: Władysław Buśkiewicz i Andrzej Sadowski. Dekoracje nienaturalistyczne, oszczędne w szczegółach, posługiwały się ujętymi syntetycznie elementami realistycznymi i tłumaczyły się jasno. — Wymienić należy przede wszystkim odsłonę IV: obóz poszukiwaczy złota. Piaskowy koloryt obrazu dobrze łączył się z delikatnym kształtem dekoracji, a właściwe rozwiązanie architektury sceny dawało możliwości ciekawych efektów, jak np. moment straszenia Tani przez poszukiwaczy. Dużo sugestywności wydobytej prostymi środkami miał obraz groty: oświetlona od góry wielka drabina przez całą wysokość sceny i dwa czarne, zachodzące na siebie złomy skalne.

Ważnym sprzymierzeńcem inscenizatora stało się światło. Dzięki niemu nastrój niezwykłości miała scena wyruszenia z kopalni w tajgę: na tle pustej ramy horyzontu, nasyconej niebieskim, zgęszczonym światłem, odchodzą po kolei ciemne sylwetki podróżników. We wspomnianej już scenie straszenia reżyser zastosował chwyt plastyczny przypominający ujęcia z filmów rysunkowych: na ekran horyzontu rzucił powiększone cienie postaci scenicznych, przydając rozgrywającej się sytuacji komentarz monumentalizujący i majakalny zarazem.

Atmosferę bajkową podkreślały też pomysły akustyczne: echo w tajdze, zdeformowany głos Kulawego, który pewne kwestie wypowiadał pochylony nad wielką, pustą beczką. Jedność dwu torów akcji: realistycznego i fantastycznego podkreślił reżyser, zachowując przez cały spektakl ramę dekoracyjną mieszkania i wiszący na bocznej ścianie pokoju studentów zegar. Tykanie tego zegara dobrze „grało" w dramatycznym momencie, kiedy przy ogólnym milczeniu Profesor decyduje się wysłać małego synka na niebezpieczne zwiady. Umowność całej historii zaznaczały stroje uczestników, wędrujących przez tajgę w zwykłych, codziennych ubraniach.

W grze aktorskiej położono nacisk na moment zespołowości. Jest to założenie szczególnie słuszne właśnie w tej sztuce, której właściwym bohaterem jest kolektyw przyjaciół. Postaci, choć zindywidualizowane, przemawiają do widza przede wszystkim jako zespół — ofiarnej, zgranej, odważnej młodzieży radzieckiej. Można by uczynić zarzut, że aktorzy za mało podkreślili zewnętrzne cechy tego środowiska. Dobrze wydobyli jednak ogólną, szczerą atmosferę, trafnie akcentowali nieskomplikowany, ale pełen wdzięku i znakomicie komunikatywny dowcip, w jaki obfituje sztuka. Wstawki piosenkarskie i taneczne miały dużo bezpośredniości, bez osadu kabaretowego. Trudno nie wspomnieć o Krystynie Feldman w roli Szurika. To był autentyczny radziecki chłopak, z całą prawdą swojej czupurności, kilkunastoletniej powagi, wewnętrznej prawości i gotowości do poświęceń. Pyszną temperaturę aktorską miała scena kłótni z kolegą. Stanisław Bryliński wydobył humor i soczystość postaci kierownika kopalni. Zbigniew Sawan grał celowo baśniową charakteryzacją, trafnie rozłożył akcenty grozy i żartu roli Kulawego.

Muzyka Marka Andrzejewskiego podnosiła walor piosenek, których teksty słowne pozostawiały zresztą niemało do życzenia.

Przedstawienie „Bajki" — mimo niewielkich niedociągnięć (mało zrozumiały obraz tajgi, ukazujący się na chwilę w I odsłonie; niewygrana scena rozmowy hydraulika z herszetem) — wypada uznać za poważny sukces artystyczny teatru szczecińskiego, i to w skali bynajmniej nie prowincjonalnej.

Stanisław Marczak-Oborski

W poprzednim 47 (260) numerze „Odrodzenia": **Leopold Staff: Nów.** — **Mao-Tse-Tung:** O krytyce literackiej. — Obrachunek z przeszłością: **Czesław Ressau; Tadeusz Łomnicki:** O „dobrych" Niemcach. — **Anatol France:** Umierają nie dla ojczyzny.. — O współczesności w tworzywie literackim mówią: **Pola Gojawiczyńska; Bohdan Czeszko.** — Johannes Becher: Żywy Goethe. — **Stanisław Marczak - Oborski:** Obrachunek z przeszłością: „Niemcy" w warszawskim Teatrze Współczesnym. — **Teofil Kowalczyk:** Wolność; **Aleksander Bek:** Walka o stal — **Krystyna Kuliczkowska:** Młodzież w powieści radzieckiej. — List do Redakcji: **Władysław Błachut:** „O społecznym milczeniu muzy kmiecej". — **Włodzimierz Domeradzki:** Witaj mistrzu Adamie. — **Tadeusz Byrski:** O trudnościach współczesnej poezji. — **Jerzy Broszkiewicz:** Kształt miłości. — **Wojciech Żukrowski:** Góra dawnych bogów. — **Aleksander Hawryluk:** Bereza. — Film: **Stanisław Grzelecki:** Najważniejszy jest widz. — Teatr w Krakowie: **Wojciech Natanson:** Wesołość — za jaką cenę? — Teatr w Katowicach: **Henryk Vogler:** Sprawa lekkomyślnej siostry. — **Wanda Telakowska:** Przemysł i piękno. — **Paul Eluard** (przełożyła **Ewa Fiszer):** Wartość dwudziestu lat tkwi w ich miłości. — Satyryk czyli błędne koło. — 16 ilustracji. — 8 stron.

JANUSZ BOGUCKI

WSTĘP DO POZNANSKIEJ REWII GRZECHÓW I CNÓT

SZKOLNICTWA PLASTYCZNEGO

Zorganizowana w ramach poznańskiego festiwalu państwowych uczelni artystycznych zbiorowa wystawa prac studentów obu naszych akademii i kilku wyższych szkół plastycznych jest niewątpliwie największym i najpełniejszym przeglądem kierunków i możliwości rozwojowych współczesnej sztuki polskiej.

Twierdzenie to nie wydaje mi się przesadzone: nie pamiętam bowiem drugiej wystawy w Polsce, która by dorównując rozmiarami pokazowi poznańskiemu uwzględniała w sposób równie pełny i systematyczny wszystkie rodzaje działalności twórczej w zakresie plastyki. Trzeba stwierdzić, że niewątpliwie wysoki w ogólnym obrachunku poziom osiągnięć studenckich pozwala w wielu wypadkach stawiać je na równi z przeciętną produkcją artystów dojrzałych, oglądaną na „salonach" czy też wystawach zbiorowych.

*

Aby wartościowanie osiągnięć i możliwosci rozwojowych, które pokazano nam na wystawie poznańskiej przeprowadzić w sposób konsekwentny i sprawdzalny — przyjąć trzeba jakiś określony cel i metodę, jaką będziemy się posługiwać przy ocenie. Celem będzie próba odpowiedzi na pytanie, w jakiej mierze akademie i wyższe szkoły plastyczne przygotowują swych studentów do wykonywania zadań, które stawia dziś przed artystą nasze społeczeństwo.

Zasadnicze wytyczne dla roli artysty w państwie ludowym dość często już były omawiane, by je raz jeszcze powtarzać. Przejdę więc od razu do określenia dwóch zasadniczych miar oceny, którymi spróbuję się posłużyć, by dać odpowiedź na postawione powyżej pytanie. Pierwszą z nich widzę w rozwinięciu i nasileniu postawy realistycznej, drugą w stopniu przygotowania fachowego do wykonania konkretnych prac zawodowych. Inaczej mówiąc spróbuję określić, w jakim stopniu poszczególne działy szkolenia zdolne są kształcić plastyków-realistów o dobrym przygotowaniu fachowym. Ani pojęcia realizmu, ani fachowości nie wprowadzam tu w jakimś sensie absolutnym: przez postawę realistyczną rozumiem wrażliwy i twórczy stosunek do otaczającej nas współczesnej rzeczywistości, przez fachowość — zasób umiejętności i wiedzy, który pozwala dobrze wywiązać się z zadań i prac uwarunkowanych właściwą naszym czasom potrzebą społeczną.

Całość omówienia wydaje mi się słuszne podzielić na dwie części zgodnie z dwoma podstawowymi rodzajami sztuk plastycznych, dającymi się z grubsza rozróżnić jako **obrazujące** i jako **kształtujące** rzeczywistość, która otacza człowieka. Jakkolwiek oba te rodzaje stale się nawzajem przenikają, jest rzeczą niewątpliwą, że różni je zarówno cel, jak i metoda pracy twórczej. Aczkolwiek, dodajmy, to rozróżnienie na sztuki obrazujące i kształtujące, ma raczej rownież znaczenie metodologiczne — zaznaczenie tej różnicy uważam za szczególnie istotne dziś — w dobie gwałtownych sporow związanych z przezwyciężaniem formalizmu. Albowiem dyskutując na temat „realizm-formalizm" szukać musimy nieco innych sprawdzianów, gdy mowa o obrazie sztalugowym i innych gdy mowa o krześle lub tkaninie dekoracyjnej.

Tak więc jedno, powiedzmy pierwsze ze stanowisk myślowych występuje głównie wśród malarzy i polega na skrajnym wyodrębnieniu malarstwa od wszelkiej „użytkowości". Wyznawcy tego poglądu powiadają: „...niewątpliwie słuszną jest rzeczą, aby plastyka służyła praktycznym potrzebom ludzkiej rzeszy, do tej jednak roboty powołani są tylko oracze pośledniejsi, żyjący skromnie u stóp Parnasu: ilustratorzy, meblarze, tkacze, majsterkowie od galanterii i zabawek. My zaś siedzący u stóp Muzy na czubku świętego wzgórza tworzymy dzieło absolutne i doskonałe, uczynione z czystego koloru i czystej formy. Wystarczy ono samo sobie jako ponadczasowa esencja myśli i wiedzy plastycznej. Oczywiście jeśli tkacz, meblarz czy ilustrator chcą z tego rezerwuaru doskonałości skorzystać i kilka kropel absolutu wsączyć w dywan, stołek lub obrazki książkowe — chętnie swego skarbu użyczymy, jednak użytkowanie tego skarbu to już nie nasza sprawa..."

Drugie ze wspomnianych tu stanowisk zajmują najczęściej „warsztatowcy" dotknięci do głębi lekceważeniem doznawanym ze strony wtajemniczonych kapłanów palety. Twierdzą więc drudzy na przekór pierwszym: „niedorzecznością i jałowym zarozumialstwem ze strony malarzy jest wszelki podział na „sztukę czystą" i „sztukę użytkową". Od początku świata istnieje bowiem jedna tylko sztuka plastyczna o wielu równorzędnych dziedzinach, których rozwój i rola podlega tym samym prawom i miarom oceny w ramach każdego stylu, dającego jednolity wyraz plastyczny życia ludzkiego w określonym czasie i miejscu.

Twórca ceramiki lub tkanin czerpie podnietę równie bezpośrednio jak malarz z życia swojej epoki i nie potrzebuje uciekać się do „rezerwuarów myśli plastycznej" utajonych rzekomo w malarstwie".

Pogląd ten na oko nieco rozsądniejszy od poprzedniego kryje w sobie jednak również poważne niebezpieczeństwa. Przede wszystkim, wynikając z dość płytkich wrogości zawodowych zaciera umyślnie odrębność zadań plastyki kształtującej i obrazującej, stwarzając wrażenie jakoby ta druga też polegała przede wszystkim na kształtowaniu brył rzeźbiarskich i malarskich powierzchni, tak jak kształtowana jest powierzchnia makaty i bryła komody lub kredensu.. W tym upodobniającym oba procesy zestawieniu występuje wyraźny element formalistyczny, bowiem kształtowaniu obrazu lub rzeźby odjęty zostaje jego istotny sens tj. obrazowanie myśli i przedmiotów. Formalistyczne odchylenie zawarte w omawianym poglądzie ma jeszcze i inne skutki. Mianowicie współcześni „warsztatowcy" uważając się za równie doskonałych w swej twórczej samowystarczalności co ich dumni koledzy od bezprzedmiotowego malarstwa i rzeźby — zdradzają często skłonności do konstruowania bezprzedmiotowych przedmiotów powszedniego użytku. Zjawisko to należy już wprawdzie w znacznym stopniu do przeszłości, nie znaczy to jednak, byśmy i dziś nie spotykali licznych sprzętów, które umieściwszy w galerii dzieł sztuki należałoby opatrzyć kartą informacyjną głoszącą: „Mistrz taki a taki. Kompozycja przestrzenna osnuta na motywie stołka; drewno lipowe i pleciona słoma".

Kompozycja taka stanowiąca dzieło samowystarczalne nie nadaje się rzecz prosta do użycia pod żadne ludzkie siedzenie.

Omawiając oba te stanowiska nie można na koniec pominąć sprawy sporu o pierwszeństwo między „czystymi" i „użytkowcami". Spór ten można uznać za całkowicie nieistotny, gdy linię podziału przeprowadzimy konsekwentnie przez całość plastycznych działań człowieka i zamiast fikcyjnych rozróżnień między artystą „czystym" i „warsztatowym" przyjmiemy proponowane tutaj rozróżnienie stawiające z jednej strony sztuki obrazujące, z drugiej zaś kształtujące rzeczywistość. Do pierwszej kategorii zaliczymy przeto malarstwo sztalugowe i monumentalne, rzeźbę, grafikę i scenografię, fotografikę a także chyba i film. Do drugiej grupy urbanistykę, architekturę, wnętrzarstwo oraz wszelkie rzemiosło a pośrednio i cały przemysł.

Na pograniczu tych dwóch wielkich działów znajdzie się gatunek plastyczny o niezwykłym dziś znaczeniu, a mianowicie sztuka ekspozycyjna. Przy tak postawionym podziale wszelkie targi o pierwszeństwo uznać trzeba za całkowicie niedorzeczne, obie bowiem główne linie twórczości plastycznej przy naturalnej odmienności zadań mają równy udział w formowaniu i wyrażaniu życia ludzkiego. Dyskusja dotyczyć może tylko kolejności powstawania między obrazem i formą kształtowaną. Historia sztuki rozstrzyga go raczej na korzyść obrazu: już w sztuce pierwotnej i prymitywnej obserwujemy fakt, że najpierw pojawia się odtworzenie kształtu natury, a potem dopiero jego schematyzacja wiodąca do ornamentu. Zjawisko to nie może przebiegać w przeciwnym kierunku, zważywszy, że wyobraźnia człowieka żyje z poznania natury a nie odwrotnie. Najpierw więc musi w plastyce pojawić się moment poznawczy czyli obraz rzeczywistości, następnie zaś dopiero jego przetworzenie dla zrozumiałej potrzeby nadawania kształtu otoczeniu.

Omówione tu dwa popularne poglądy składają się więc — dzięki zawartym w nich błędom i niekonsekwencjom — na rodzaj zasłony dymnej przesłaniającej różnorodne tendencje formalistyczne. 1) Zarówno odosobniona pozycja na Parnasie malarstwa i rzeźby, jak upodobnienie ich do artystycznego rękodzieła ogranicza te gałęzie sztuki do ciasnego kręgu dociekań formalnych. 2) Artystowskie ambicje „warsztatowców" obciążają wyniki ich działania skłonnością do bezprzedmiotowej spekulacji. 3) Sztuczne i małoduszne zwalczanie się „warsztatowców" i „czystych" tamuje naturalny przepływ doświadczeń niezbędny dla kształtowania się jednolitego stylu nowej epoki. Stąd wynika jakże częste skostnienie zawodowe i powstawanie formalistycznych skrzepów w poszczególnych dziedzinach plastyki. 4) Niezrozumienie podstawowej roli wszechstronnego realistycznego studium natury jako podstawy do wszelkich dalszych poczynań artysty tak w obrazowaniu, jak w kształtowaniu plastycznym. 5) Rozluźnienie naturalnej więzi między urbanistyką i architekturą, a innymi gałęziami plastyki na skutek ich estetyzującego zacieśnienia się i odgradzania od społeczeństwa.

Te wstępne rozważania wiążą się w sposób istotny z poznańskim pokazem prac studenckich. Tkwiące bowiem w omówionych tu dwóch postawach skłonności starszego pokolenia artystów znajdują swe bezpośrednie odpowiedniki zarówno w dotychczasowym ustroju i metodach pedagogicznych, jak i w samych wynikach pracy studentów.

Uwagi o szkolnictwie artystycznym, jakie nasunęła wystawa poznańska, w następnym numerze.

Janusz Bogucki

JERZY BROSZKIEWICZ

KSZTAŁT MIŁOŚCI

Całe wiem o pięknem? Kształtem jest miłości
Cyprian K. Norwid („Prometidion")

rysunki ANTONIEGO UNIECHOWSKIEGO

22

Konstancja nie przyszła, bo nie mogła. Udał, że wierzy tłumaczeniom i przeprosinom. Chciał w nie uwierzyć. Na nic — dobrymi chęciami nikt jeszcze nie uleczył się z miłości.

Łatwo jest kochać dzieło własnej wyobraźni. Ale któż potrafi kochać żywego człowieka bez cierpienia i głupstwa? Dawniej wydawało się, że obecność Konstancji może być tylko i wyłącznie godziną szczęścia. Wydawało się, że będą mówić o sprawach najwyższej wagi, że będą sobie podawać swe słowa z ust do ust i z serca do serca. Żadna szpetna błahostka nie potrafi umniejszyć wielkości ich wzruszenia. Owego wieczoru, podczas którego pan Soliva przedstawił ich sobie, Fryderyk usnął płacząc z niespokojnej radości. Dziś miłość ku Konstancji jest o tyle prawdziwsza, że rodzi czasem gniew — czasem nawet nienawiść.

Konstancja jest godna miłości poetyckiej i miłości ludzkiej. Daleka jednak droga dzieli te dwie postaci Konstancji. Fryderyk pokochał wcześniej pierwszą. Dlatego drugiej towarzyszy cierpienie.

Cierpią oboje — Konstancja płacze i dąsa się na gniewy Fryderyka. Trudno — Fryderyk walczy o miłość do Konstancji z coraz bujniejszą miłością własną. A tę właśnie rani Konstancja. Gressery i Pisarzewscy tańczą wokół pięknej panny, śpiewają z nią duety, pysznią się swymi mundurami. Nie odtrąca ich, mimo że w jej dłonie złożył swe serce Fryderyk Chopin, meteor na muzykalnym horyzoncie Europy. Gęś — nie umie pojąć, że los pasuje ją na Eurydykę!

Fryderyk wróciwszy z wieczoru u pani Majerowej potargał portrecik kochanki w drobne strzępy. Potem, płacząc, złożył z powrotem. Powiew lekkiego wiatru zdmuchnął skrawki papieru z biurka — bieliły się na ziemi jak młody śnieg.

W ogóle Warszawa staje się miastem coraz bardziej gorzkim. Obojętność publiczności, w marcu tak czułej jeszcze, obojętność przyjaciół, coraz dalszych, lub coraz głupszych — obojętność Konstancji... Oto grzechy Warszawy, których rejestr rośnie, rani, każe myśleć o ucieczce w szeroki świat. On inaczej powita i przyjmie.

Potem przychodzą dni uspokojenia. Konstancja jest czuła i bliska — przyjaciele mówią o geniuszu Fryderyka — w kawiarniach, na ulicy, w salonach uśmiechy pełne szacunku. Dobrze jest w domu na przypiecku, wygodnie. Nie chce się nawet myśleć o wyjeździe w świat ludzi obcych, może wrogich.

Pan Mikołaj jednak czujnie śledzi rozwój wypadków. Orientuje się w stosunku Konstancji do syna i cieszy go smutek Fryderyka — myśląc bowiem o Gładkowskiej uśmiecha się z pogardliwą ironią: Gładkowska? za niskie to progi dla jego jedynego syna. Czasem przypomni sobie przy stole, z kim to dziś widział pannę Gładkowską na Bednarskiej, lub co o niej mówiono, Fryderyk zaś uśmiecha się obojętnie i jest blady.

Rymarz Orpiszewski kończy już robotę dwu kuferków podróżnych — dochodząca szwaczka poszyła jedwabne koszule — strój podróżny i strój paradny są w ostatnich próbach. Wszystkimi tymi sprawami dyryguje dyskretnie dłoń pana Mikołaja.

W końcu przysłano z Wiednia numer „Allgemeiner musikalischer Anzeiger". Krytyk wiedeński zamieścił notę o wariacjach op. 2, pióra Fryderyka Chopina, które ukazały się nakładem firmy Tobias Haslinger (dawniej Steiner). „Jest krótko, ale tak bujnie" — pochwalił się Fryderyk w liście do Tytusa — „tak wysoko, a przy tym filozoficznie, że tłumaczyć tego nie można... Jednakże nie ma nic przesadzonego i tak jest, jak ja sobie życzę, bo mi tu samodzielność przyznaje". Tego wieczoru przed oczami ojca i syna stanęły sale koncertowe wspaniałych stolic Europy. Przesłoniły pamięć o Konstancji — zgłuszyły gorzkie słowa przyjaciół. Wiedeń chwali, zachwyca się wariacjami. Wariacje? To dawna już, zapomniana sprawa. Teraz w pięknie zszytych przez siostry tekach czekają na swe triumfy dwa koncerty Fryderyka Chopina!

Pozostaje jedna jeszcze sprawa: finanse. Oczywiście książę Radziwiłł zapomniał o swych mecenasowskich chęciach. Inny wielbiciel i mecenas Minister Prezydujący w Komisji Rządowej Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, hrabia Mostowski przyznał „synowi profesora Chopin po złotych 5 (pięć) corocznie w celu wojażowania za granicą przez dwa lata i udoskonalania talentu grania na fortepianie..." Należało więc własnym przemysłem powiększyć oszczędności przeznaczone na Wiedeń, Mediolan i Paryż. A zatem — koncert, pożegnalny, benefisowy koncert. Powinien dać kilka tysięcy.

We środę rano, 22 września Fryderyk siedząc przy biurku na facjatce temperuje pióro — po szybie spływają drobne krople deszczu — list do Tytusa Wojciechowskiego w Poturzynie zaczyna się tak:

„Najdroższe życie moje!

Przez okazję łatwiej Ci mogę wytłumaczyć, dlaczego jeszcze siedzę. Ojciec istotnie nie życzył sobie mojego przed paru tygodniami wyjazdu, a to z powodu zaburzeń, jakie w całych Niemczech zachodzą. Nie licząc nadreńskich prowincyj, Sasów, którzy już także innego mają króla, Brunświku, Cassel itd., słychać było, że i w Wiedniu parę tysięcy ludzi zaczęło się dąsać z powodu mąki. Co chciano od mąki, nie wiem, ale że było coś to wiem. W Tyrolu się także sfuknęli. Włochy tylko wrą i lada moment, mówił mi Moziollo, oczekują jakich nowych wiadomości w tym względzie. Jeszczem się nie starał o paszport, ale ludzie utrzymują, żeby mi go nie dali, jak tylko do Austrii i Prus; nie myśleć o Włochach i Francji. I to wiem, że kilku już osobom zupełnie paszportu odmówiono, coby mnie jednak pewno nie spotkało. Wyjadę więc pewno w przeciągu kilku tygodni Krakowem do Wiednia, bo tam znów odświeżyli sobie o mnie pamięć, więc trzeba z tego skorzystać..."

Przez okazję łatwiej było podać ciekawe nowiny zagrzebanemu na prowincji przyjacielowi, ale i tak bardzo należy uważać, by nawet słówkiem nie opowiedzieć się po stronie tych, którzy wstrząsają tronami zachodniej Europy. Listy idące pocztą czytają lektorzy Centralnego Biura Policji Tajnej. List wieziony okazją też może nieszczęśliwym trafem wpaść w ręce tych panów. W Warszawie coraz duszniej.

*

Hasło do wybuchu dał Paryż. Potem trasą z zachodu na wschód poczęły błyskać rewolucyjne ognie. Osadzony rozkazem Świętego Przymierza na francuskim tronie Karol X znikł z Paryża jakby zdmuchnął go wiatr. Zapewne miał w pamięci los citoyena Capeta — nie uśmiechnęło mu się wspomnienie czerwonej wdowy.

Gdy pierwsze wieści o lipcowych dniach Paryża doszły do Warszawy Żukowski uśmiechnął się do przyjaciół:

— Wchodzimy — rzekł — w epokę nowego trzęsienia ziemi...

— Trzęsienia historii — poprawił Nabielak.

Trzęsienia historii? — niech będzie i tak. Sejsmografy krajów jeszcze spokojnych — czyli dyrekcje policji — poczęły szybko notować siłę wstrząsów. Poczęły nadchodzić wieści coraz groźniejsze: Belgia, Saksonia, Brunświk, Cassel, nawet roztańczony Wiedeń, poczęły płonąć od strumieni rewolucyjnej lawy, ziemia pękając wyrzucała na wierzch barykady.

Najjaśniejszy Pan — samodzierżca Rosji i król Polski — Mikołaj I dobrze spamiętał zwierzęcy strach, który zdławił gardło na wieść o akcji stających mu na drodze do tronu a może i życia, dekabrystów. Udało się wtedy cesarzewiczowi otworzyć salwami armat źle zamkniętą drogę. Od tego czasu „tak zaufał swym osobistym natchnieniom i tak ufał, że one od Boga pochodzą, iż, jak się wyraził jeden z jego ministrów, „ilekroć wyrzekł jakie zdanie, wnet się przysłuchiwał, co Duch Święty przez niego przemówił". Strach jednak pozostał. Toteż jednym z owych natchnień — natchnieniem naczelnym — była nienawiść do każdej myśli konstytucyjnej, do każdej chęci obalenia zaprowadzonego przez Święte Przymierze ładu. Przejrzawszy pierwsze telegramy o rewolucjach w Paryżu i Brukseli wezwał na nagłą sesję członków swego sztabu generalnego. Rozkaz brzmiał: przygotować plan operacyjny, mający na celu zgniecenie rewolucji francuskiej i belgijskiej.

Pierwsze szkice planu typowały na straż przednią mającej przywrócić stary porządek mikołajowskiej armii siły zbrojne Królestwa. Już w sierpniu W .C. M. ks. Konstanty Pawłowicz zarządził koncentrację polskich pułków wokół Warszawy — od kompanii do kompanii szły słuchy o wojnie z Francuzami, o dalekich marszach, w szkole podchorążych nawet najwięksi bibosze nagle zapomnieli o kartach, dziwkach i wódce...

Natomiast na kwaterach pułków stacjonujących pod Warszawą młodzi oficerowie piją, jeżdżą do stolicy, wracając nad ranem śpiewają piosenki o kieckach i dzieckach. Część z nich jednak zabawia się dość dziwacznie. Zamykają się w pokoikach podrzędnych szynków i miast pić, wiodą dyskusje. W tych grupach widuje się Wysockiego, Urbańskiego, Zaliwskiego... — Zaliwski zdając sztabowi spisku sprawozdanie za miesiąc wrzesień podaje, że do sprzysiężenia wciągnięci są przedstawiciele wszystkich warszawskich i stacjonujacych wokół stolicy pułków w liczbie stu dziewięćdziesięciu siedmiu oficerów niższych stopni. Po odczytaniu owego sprawozdania Nabielak w nagłym wniosku zażądał przyśpieszenia terminu ustalonego podczas ostatniej sesji na miesiąc luty przyszłego roku. Wysocki sprzeciwił się — wybuchła kłótnia. Po dłuższej dyskusji wniosek Nabielaka upadł. Wysocki motywował odwlekanie się wybuchu rewolucji brakiem wodza, gdy zaś nawet Maurycy stanął po jego stronie, Nabielak wyszedł trzasnąwszy drzwiami. Zaliwski klął.

Pogodzili się dopiero nazajutrz, w kawiarni — Nabielak i Maurycy siedzieli u „Baroka" nad gazetami przy wspólnym stoliku, bocząc się jednak jeszcze na siebie, gdy wbiegł Goszczyński roześmiany od ucha do ucha. Było to coś niesłychanego: Goszczyński śmiejący się w głos. Dopadł Maurycego:

— Szczury — mówił — szczury uciekają ze statku.

Przyniósł wieści istotnie śmieszne: Grabowski, minister „ociemnienia", książęcy służka, wyjechał z Warszawy z dnia na dzień. Nawet swojej najnowszej „pokojowej" nie zdążył zabrać — tak śpieszył się na... wakacje. A prezydent Szaniawski równie nagle począł się wybierać do Wiednia — dla „poratowania zdrowia". Chodzą również słuchy, że Jego Ekscelencja Mikołaj Mikołajewicz Nowosilcow w najbliższych dniach wyjeżdża do Słonimia.

Maurycy od razu zaproponował poncz w „Dziurce". Nie doszli jednak na Miodową — znęcił ich po drodze „Wesoły Bachus", w którym jak wiadomo podawano do gdańskiej wódki najlepszy w całym Królestwie myśliwski bigos. Nim przyniesiono pierwszą karafkę Nabielak już się upił — swoimi myślami. Wyciągnął nogi pod stołem, rozparł się w krześle, uśmiechnął marząco. Oczy zaszły mu mgłą.

— A może już w listopadzie — zwrócił się ku Maurycemu — rozumiesz bracie, w listopadzie...

Wódkę przyniosła Dorotka, dąb z twarzą anioła, jak ją nazywał Maurycy. Seweryn uszczypnął dziewczynę w łydkę. Zaczęła mu wymyślać, przyjaźnie zresztą. Seweryn śmiał się:

— A cóż ty duszko rzekniesz nam o listopadzie?

Posłała go „na raki". Trzęsąc się jeszcze od śmiechu wypili pierwszy kieliszek: niech żyje rewolucja — na pohybel despotom!

*

Dzień trzeciego listopada — pierwszy dzień podróży — jest chy i słoneczny. Poranny szron stopiło słońce. Od pól wlecze się dym ognisk.

Dyliżans kołysze łagodnie do snu. Nikt nie gada. Siedzący naprzeciw bruchacz mruży oczy, odpędza się od słońca jak od muchy. Konie parskają dziarsko, lecz kłusują leniwie.

Wieże Warszawy już znikły. Po obu stronach drogi równina mazowiecka. Każdy obrót kół oddala cię coraz bardziej od wszystkich twych przeszłych spraw. Z tyłu zostaje sielskie i anielskie dzieciństwo, młodość górna i chmurna, miłość do Konstancji... miasto bliskie sercu i serca bliskich przyjaciół. Może się wydawać... — nie: można mieć nadzieję, że wszystko to uwozisz z sobą. Droga wyjazdu zawsze może stać się drogą powrotu. Wrócisz... będziesz witał Konstancję, rodziców i siostry, przyjaciół, miasto. Wrócisz jako Fryderyk Chopin, będzie to powrót triumfalny.

Na palcu pierścionek z turkusem. Żegnając się z Konstancją wymienili skromne błyskotki i chyba po raz pierwszy pojął, że Konstancja nie chce rozstania, że boi się jego nieodwracalności. Jeśli nawet wrócisz — szepnęła — nie wrócisz do mnie. Wieczór był zimny, więc wstrząsnął nią dreszcz. Potem obojgiem wstrząsnął płacz. Tak — każde pożegnanie może być — a często bywa — pożegnaniem na zawsze. Takiej świadomości nie usuną żadne słowa, przysięgi ani obietnice.

Chwila pożegnania jest zawsze chwilą prawdziwej miłości, gdyż rządzi nią lęk przed utratą miłości. Jeśli wrócę — odpowiedział — wrócę do ciebie. Całując się wierzyli sobie. Były to jednak pocałunki pełne rozpaczy. Czyż można zawierzyć losom? Nad Warszawą szły niskie, ciężkie chmury i wieczór był groźny. Chmury rozpędził dopiero nocny wiatr.

Przymknij powieki — ujrzysz Konstancję. Jej oczy, albo jej usta, albo jej dłonie. Gdy zaś podniesiesz powieki ujrzysz przed sobą daleką równinę — przedmiot swej drugiej miłości.

Ziemia w tym kraju jest płaska i jałowa. Trzeba walczyć z jej bezpłodnością, z wiatrem, który niesie grady lub burze, ze słońcem, które sprawia, że w czas posuchy ziemia pęka jak skóra na spracowanych dłoniach. Nie zawsze słońce jest równie łagodne, jak dziś. Bywa też tak, że horyzont niknie w deszczach a po łąkach wloką się dymy razem z mgłami.

Na przednówku dzieci mają wargi sine i drżące. Nie jest to kraj zbyt urodziwy ani zbyt łagodny.

Mimo to tak jak uwozisz ze sobą obraz Konstancji i miłość do Konstancji — tak samo uwozisz ze sobą obraz kraju i miłość ku niemu. Być może są ojczyzny piękniejsze, weselsze, bogatsze. Nie znajdziesz jednak takiej, która potrafiłaby ci zastąpić tę, którą właśnie żegnasz.

Przed tobą otwiera się czas walki o triumfy miłości własnej. Droga wiedzie na południe i zachód. Należy wierzyć, że u jej kresów czeka sława sprzymierzona z bogactwem. Należy mieć nadzieję, że trzecia miłość twej młodości będzie miłością szczęśliwą. Będzie także miłością uczciwą — nie porzucisz dla niej tamtych obu miłości.

Przydrożne wierzby powoli odchodzą w tył. Na ściernisku zebrał się wroni sejm — dziwaczny, bo milczący.

KONIEC CZĘŚCI PIERWSZEJ

KLUB „ODRODZENIA"

PRZEDSTAWIA SWYCH AUTORÓW I DZIEŁA, KTÓRE CZŁONKOWIE KLUBU OTRZYMAJĄ W CIĄGU ROKU 1950

ADOLF RUDNICKI — „PAŁECZKA" *)

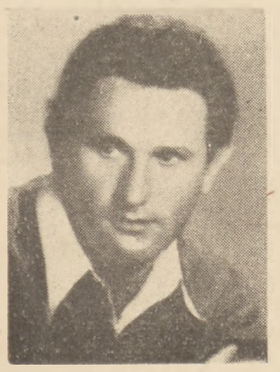

Głośny, znany już przed wojną autor urodził się w 1912 roku w Żabnie nad Dunajcem. Jego debiut literacki przypada na rok 1932. Pierwsza powieść „Szczury" zwraca na młodego pisarza uwagę krytyki literackiej. Szersze koła czytelnicze poznają nazwisko Rudnickiego w rok później, po ukazaniu się „Żołnierzy". rewelacyjnych wspomnień rekruckich autora, w których z niezwykłą bystrością i wnikliwością obserwacji przedstawia on środowisko żołnierskie oraz zło stosowanych wówczas w wojsku metod wychowawczych.

W roku 1937 dorobek literacki autora wzbogaca się o „Niekochaną", a w roku 1938 — o „Lato". W 1939 roku publikuje Rudnicki „Profile i drobiazgi żołnierskie".

Powojenne cykle opowiadań, „Szekspir" i „Ucieczka z Jasnej Polany" wyróżnione w br. przez jury nagrody „Odrodzenia" uważane są przez krytykę za jedno z celniejszych osiągnięć powojennej prozy.

Nowa powieść Rudnickiego pt. „Pałeczka" jest powieścią współczesną o młodej, mądrej, umiejącej głęboko kochać dziewczynie. Akcja toczy się w środowisku ludzi sztuki.

Powieść bardzo szczera, pełna pasji odkrywczej, właściwej temu autorowi, porusza wiele istotnych problemów nurtujących środowisko artystyczne.

SIERGIEJ GOŁUBOW — „NARODZINY EPOKI"

Siergiej Gołubow, współczesny pisarz radziecki, urodził się w 1904 roku w Saratowie. Po ukończeniu tamtejszego gimnazjum studiuje prawo na uniwersytecie moskiewskim. Bierze udział w pierwszej wojnie światowej i zostaje ciężko ranny. W 1918 roku znajduje się w szeregach Armii Czerwonej i walczy na Kaukazie. Po wojnie pracuje jako urzędnik i zamieszcza liczne opowiadania, szkice, artykuły w pismach codziennych i tygodnikach. W ostatniej wojnie, ze względu na stan zdrowia Gołubow udziału nie bierze i poświęca się całkowicie pracy literackiej. Pierwsze jego opowiadanie pt. „Kamień i garnek" ukazało się w wydaniu książkowym w 1933 roku. W 1938 roku wydaje beletrystyczną biografię Bestużewa-Marlińskiego, a w 1939 roku pierwszą powieść historyczną „Żołnierska sława", która zdobywa mu szerokie rzesze czytelników. Następnie wychodzą opowiadania „Stradivarius na czynszu", „Płomień z iskry", powieść o dekabrystach, „Bekietowka" — opowiadanie z czasów wojny domowej i „Dzień Konstantyna Piotrowicza". W 1942 roku ukazuje się opowiadanie „Gierasim Kurin" a w 1943 roku powieść „Bagration", żywo odtwarzająca patriotyczny nastrój rosyjskiego społeczeństwa i wojska w 1812 roku. Stała się ona ulubioną lekturą żołnierzy Armii Czerwonej. W 1945 roku ukazuje się zbiór opowiadań „Waleczność", a w następnym — „Narodziny epoki".

Akcja powieści toczy się w Rosji carskiej w czasach poprzedzających wybuch pierwszej wojny światowej. Autor daje niezwykle interesujący przekrój ówczesnej Rosji od zapadłej wsi przez środowiska rewolucyjnego proletariatu miejskiego, przez Jasną Polanę Lwa Tołstoja aż do galerii postaci kamarylli dworskiej, cara, carycy i Rasputina.

FRITZ ERPENBECK — „RYCERZE PRZEMYSŁU"

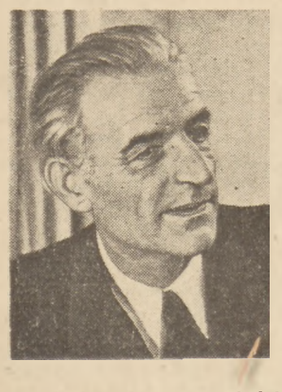

Fritz Erpenbeck urodził się w roku 1897 w Moguncji. Przed pierwszą wojną światową pracował jako ślusarz. Po powrocie z wojny kończy szkołę dramatyczną, potem występuje jako aktor na prowincji, a od 1927 r. w Berlinie. W 1929 pracuje w kierownictwie literackim teatru Piscatora. Od roku 1930 zajmuje się dziennikarstwem, wydaje pismo polityczno-satyryczne „Czerwony Pieprz". Po objęciu władzy przez Hitlera emigruje do Pragi, gdzie wydaje „Ilustrowaną Gazetę Robotniczą".

W roku 1935 zostaje moskiewskim korespondentem niemieckich czasopism literackich ukazujących się w Czechosłowacji. Pisuje studia teatralne, współpracuje z radiem, wydaje w Moskwie pierwszą swą książkę pt. „Nie chciałem być tchórzem", a w następnych latach — powieści: „Imigranci", „Niemieckie losy" i, w czasie drugiej wojny światowej, „Mała dziewczynka na wielkiej wojnie".

Również w Moskwie wydaje powieść „Rycerze przemysłu", która ukazać się mogła w Niemczech dopiero w roku 1945.

Powieść wprowadza czytelnika w gorączkową atmosferę siedemdziesiątych lat ubiegłego stulecia w Niemczech. Jest to okres gwałtownego rozwoju przemysłu, rozrostu wielkich miast, okres powstawania olbrzymich fortun drogą bezwzględnej konkurencji, spekulacji i przekupstwa.

Bohaterem książki jest młody, odważny dziennikarz, który stara się kłaść tamy mętnemu nurtowi bezprawia, gwałtu i ucisku, nie zważając na to, że jednym ze zwalczanych przez niego rekinów kapitalistycznych jest ojciec jego ukochanej.

PRAWA I OBOWIĄZKI CZŁONKÓW KLUBU „ODRODZENIA"

ROK 1950

1. **Członek Klubu „Odrodzenia" otrzymuje co drugi miesiąc, poczynając od stycznia, powieść pióra wybitnego współczesnego pisarza polskiego lub obcego, starannie i estetycznie wydaną, w jednolitej na dany rok rok, klubowej szacie graficznej.**
   Objętość książek klubowych waha się od 200 do 500 stron (przeciętnie 320 str.).
2. **Członek Klubu „Odrodzenia" otrzymuje książki klubowe po cenie znacznie niższej od ceny księgarskiej (przeciętna cena klubowa 250 zł. za tom, księgarnia 450 zł. za tom).**
3. **Członek Klubu „Odrodzenia" otrzymuje książki klubowe przez pocztę na wskazany adres. Koszt opakowania i przesyłki zawarty jest w cenie książki.**
4. **Członek Klubu „Odrodzenia" systematycznie opłacający abonament może otrzymać w końcu roku premię w postaci siódmej książki.**
5. **Członek Klubu „Odrodzenia" otrzymuje informacje o życiu Klubu w „Kąciku Klubowym" tygodnika „Odrodzenie" w pierwszym numerze każdego miesiąca.**

W zamian za to:

Członek Klubu „Odrodzenia" uiszcza systematycznie, z góry, poczynając od grudnia 1949 r., w pierwszych dniach miesiąca abonament w sumie 1.500 zł. rocznie, jednorazowo lub w ratach: 125 zł. miesięcznie, 250 zł. dwumiesięcznie, 375 zł. kwartalnie, 750 zł. półrocznie — na konto PKO Nr I-8181 (Spółdzielnia Wydawniczo - Oświatowa „Czytelnik". Klub „Orodzenia"), albo w Administracji Klubu: Warszawa, ul. Wiejska 16.

*

Wstąpienie do Klubu odbywa się przez podpisanie deklaracji i przesłanie jej na adres Administracji Klubu. Wystąpić można wypowiadając przynależność pisemnie na trzy miesiące przed końcem roku. Brak wypowiedzenia traktowany jest jako uczestnictwo w Klubie na rok następny.

Deklarację wypełniają tylko nowowstępujący.

Przy korespondencji i uiszczaniu opłat należy zawsze podawać nazwisko nadawcy, numer legitymacji członkowskiej i nazwę Klubu.

*) Obie te powieści ukażą się w osobnych tomikach jako pozycja jednego miesiąca.

PIOTR PAWLENKO — „STEPOWE SŁOŃCE" *)

Znakomity pisarz radziecki, Piotr Pawlenko urodził się w 1899 roku w Petersburgu w rodzinie urzędnika kolejowego. Dzieciństwo i lata młodzieńcze pisarz spędza w Gruzji, która stała się dlań drugą ojczyzną. Po ukończeniu gimnazjum Pawlenko wstępuje do Armii Czerwonej.

W latach 1924 — 1927 Pawlenko przebywa w Turcji w charakterze pracownika radzieckiego przedstawicielstwa handlowego. W okresie tym ukazują się jego pierwsze opowiadania oraz zbiór reportaży „Stambuł i Turcja". W 1932 roku roku wychodzi jego pierwsza powieść „Barykady", poświęcona Komunie Paryskiej. W 1934 roku Pawlenko napisał swoją słynną powieść „Na wschodzie". Bezpośrednio po jej napisaniu Pawlenko rozpoczyna pracę w dramaturgii filmowej. Słynne na cały świat filmy radzieckie — „Jakub Swierdłow", „Aleksander Newski" i „Przysięga" oparte są na jego scenariuszach.

W latach 1932 — 1938 Pawlenko redaguje założony przez Gorkiego almanach „Rok XXII" oraz pismo literackie „Trzydzieści dni". W 1938 roku pisarz został odznaczony Orderem Lenina za działalność literacką. Podczas ostatniej wojny Pawlenko był stałym korespondentem wojennym gazety „Czerwona Gwiazda". Za udział w bitwie o Noworosyjsk odznaczony został Orderem Czerwonej Gwiazdy. Od roku 1945 pisarz mieszka i pracuje na Krymie, gdzie powstała jego znana powieść „Szczęście", nowy scenariusz filmowy „Upadek Berlina" (wspólnie z M. Czaureli) oraz szereg opowiadań. Piotr Pawlenko jest trzykrotnym laureatem Nagrody Stalinowskiej.

Opowieść Pawlenki „Stepowe słońce" przenosi czytelnika w krainę stepów południowo-rosyjskich, ogarniętych gorączką żniw. Z tego porywającego tematu autor wydobył szczególny wdzięk, czyniąc głównym bohaterem opowieści małego chłopca, syna kierownika kolumny ciężarówek, obsługujących stepowe gospodarstwa rolne. To małe arcydzieło, które spotkało się z gorącym przyjęciem krytyki, należy niewątpliwie do najwybitniejszych osiągnięć współczesnej prozy.

Wnioski z dwuletniego doświadczenia

Doświadczenia klubowe Klubu „Odrodzenia" i Klubu Dobrej Książki nagromadzone w ciągu dwóch lat zarówno przez Wydawnictwo jak i przez Członków Klubów są wymowne i doskonale odzwierciedlają sytuację wydawniczo-czytelniczą w naszym kraju.

Kluby są posunięciem organizacyjnym, któremu przyświecają dwa cele: 1) usystematyzowanie kulturalnie doniosłej sprawy zapoznawania czytelników z wybitnymi pozycjami literatury współczesnej polskiej i zagranicznej, w wyborze najcelniejszych 6 lub 12 pozycji rocznie (dla Członków obu Klubów), w wyborze odpowiedzialnym, dokonywanym przez Wydawnictwo, które specjalizuje się w literaturze współczesnej i 2) dostarczenie czytelnikowi przynajmniej tych kilku książek rocznie drogą tańszą niż przez sieć księgarską i dogodniejszą, mianowicie przez pocztę na jego domowy adres, co szczególnie na prowincji, przy źle zbudowanej, jak dotychczas, i źle zaopatrzonej sieci księgarskiej ma znaczenie o dużej wadze kulturalnej. Nic więc dziwnego, że Kluby spotkały się z gorącym przyjęciem i licznym napływem Członków.

W toku działalności jednak ambitne zamierzenia Klubów natrafiały na pewne przejściowe trudności, które muszą być omówione i usunięte.

Pierwsza trudność wiąże się z sytuacją wydawnictwa, dającego swym czytelnikom zestawienie nowości, wśród których najważniejsze miejsce zajmują pozycje rodzime i to pozycje najnowsze. Redakcja Klubów ogłaszając program klubowy rzadko posiadała gotowe już rękopisy polskie, a ponieważ zdarzało się, że pisarz wbrew swym zamierzeniom nie zdążył ich wykończyć w ciągu roku klubowego — zmuszona była zastępować je innymi. Szybki rozwój polskiej twórczości prozaicznej, jaki obecnie obserwujemy, pozwala nam jednak spodziewać się, że ten stan rzeczy ulegnie rychłej zmianie na lepsze.

Druga trudność typu redakcyjnego to brak dostatecznej ilości dobrych tłumaczy. Przedwojenni wydawcy prywatni nie dbali o poprawność języka wydawanych utworów, wystarczała im ich pokupność. Dobrzy tłumacze tłumaczyli starannie z wewnętrznej pasji, z miłości dla ojczystego języka, ale takich wśród żyjących można policzyć na palcach. Powszechnym zjawiskiem jest więc dziś fakt, że uspołecznione, ambitne wydawnictwa muszą po dwa i trzy razy zlecać tłumaczenie tego samego utworu lub miesiącami pracować nad udoskonaleniem przekładu. Sytuacja taka nie sprzyja dotrzymywaniu zaplanowanych terminów — stąd opóźnienia i przestawianie tytułów w czasie.

Wyciągając wnioski praktyczne z tego doświadczenia, wydawnictwo postarało się o odpowiedni zapas gotowych do druku rękopisów, co umożliwi normalny tok pracy na przyszłość.

Następny wniosek wiąże się z przywilejem przyznanym Członkom Klubów, iż książki klubowe w ciągu roku nie ukażą się w sprzedaży księgarskiej. Przywilej ten obudził krytykę ze strony szerokiej publiczności, która dziś nie może się już zgodzić na żadną klanowość i na żadne przywileje. Żąda ona, jeśli książka jest dobra, publikowania jej zarówno w prasie, radio jak i uprzystępnienia w sprzedaży otwartej, choćby droższej i mniej wygodnej. Książki głośne, aktualne, „książkiczyny" jak je określa A. Rudnicki istotnie nie mogą stać się przywilejem nawet najbardziej dojrzałych do zorganizowanego kontaktu z literaturą czytelników. Przywilej ten więc gwoli sprawiedliwości i dobru publicznemu musi być zniesiony — co przecież nie umniejszy w niczym wygód, jakie posiadają Członkowie Klubów w postaci dużo niższej ceny, wysyłki pocztowej natychmiast po ukazaniu się, opłat ratalnych, jednolitej, starannej, wyłącznie klubowej szaty graficznej.

Z kolei sprawy o charakterze finansowym. Członkowie Klubów należności za książki uiszczali w wysokości 1800 zł. rocznie. Obecnie obniża się opłatę roczną do sumy zł. 1500. Premia w postaci siódmej książki przyznawana jednak będzie tylko tym Członkom, którzy przez cały rok regularnie uiszczać będą należności.

Członkowie Klubów winni pamiętać, że organizacja Klubów jest mechanizmem, w którym wszystkie czynniki są współzależne. Stosowanie systemu ratalnego możliwe jest przy punktualnym wpłacaniu należności, niższa cena jest uwarunkowana wpłatami z góry, gdyż wydawnictwo nie potrzebuje korzystać wtedy z oprocentowanego kapitału obrotowego itp. Kluby są własną organizacją Członków i jak to bywa w organizacjach społecznych zaniedbania jednych Członków odbijają się na pozostałych. Wprowadzenie systematyczności z obu stron: Wydawnictwa i Członków Klubów jest warunkiem koniecznym dalszego rozkwitu Klubów.

I wreszcie sprawa ostatnia: zapowiedziane przy powstawaniu Klubów innego rodzaju imprezy kulturalne. Dotychczas pisma patronujące Klubom ogłaszały bardziej interesujące wypowiedzi Członków Klubów i na przyszłość pisma te nie odmówią miejsca na tę publiczną dyskusję. Rozmiary jej są, nie trzeba chyba tego dodawać — całkowicie zależne od aktywności Członków Klubów. O zwiększenie tej aktywności w obopólnym interesie należy apelować. Poza tym Administracja Klubów jest gotowa podjąć się realizowania w granicach swych możliwości wszelkiego rodzaju słusznej inicjatywy Członków Klubów w organizowaniu dostępu do wszelkich innych dóbr kulturalnych poza książką. Mieści się to w pojęciu Klubów i czeka tylko na inicjatywę.

REDAKCJA KLUBU „ODRODZENIA" I KLUBU DOBREJ KSIĄŻKI

LOUIS ARAGON — „KOMUNIŚCI"

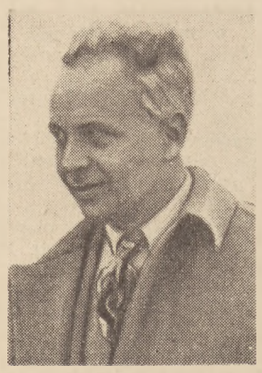

Poeta, krytyk, prozaik, wybitny postępowy pisarz francuski urodził się w 1897 roku. W pierwszym okresie twórczości reprezentuje skrajne kierunki literackie: należy do odłamu dadaistów, a w 1924 roku zbliża się do surrealistów. Po kilku latach zrywa jednak z surrealizmem i szuka nowych dróg wyrazu artystycznego. Duże znaczenie ma w tym okresie dla poety spotkanie z Majakowskim. W 1927 roku wstępuje do Francuskiej Partii Komunistycznej. W trzy lata później odbywa podróż do ZSRR. Wyrazem jego entuzjazmu dla rozbudowującego się przemysłu radzieckiego jest poemat „Hourrah l'Ural".

W 1931 roku wydaje Aragon poemat „Czerwony front", za który wytoczono mu proces. Prócz twórczej pracy literackiej poświęca się Aragon dziennikarstwu. Jest kolejno redaktorem dzienników: „Commune", „L'Humanité", „Ce Soir" i miesięcznika „L'Europe". W czasie ostatniej wojny bierze czynny udział w ruchu oporu, jest jednym z najaktywniejszych członków Narodowego Komitetu Pisarzy Francuskich. Jego wojenne wiersze, kolportowane potajemnie w kraju, zyskują mu wielką popularność. Do najwybitniejszych pozycji prozaicznych Aragona należą: „Dzwony Bazylei" (1934), „Piękne dzielnice", wyróżnione w 1936 roku nagrodą Renaudot, „Niewola i wielkość Francji" — tom nowel okupacyjnych.

Wszystkie swoje współczesne powieści wiąże Aragon w cykl pt. „Le monde réel" („Świat rzeczywisty").

W „Komunistach" dotrzymał Aragon obietnicy, zawartej w tytule cyklu. Przedstawia tam naprawdę świat ludzi żywych. Książka ta jest dowodem, że nie ma rozbieżności pomiędzy wielką sztuką i prostotą. Zainteresowanie akcją, które budzi w czytelniku już prolog i które rośnie w miarę rozwoju zdarzeń, rodzi się z historii bardzo prostych, lecz przede wszystkim z wielkiej, urzekającej miłości do człowieka. Książka wzrusza, denerwuje, budzi śmiech, irytację, gniew nawet, bo nade wszystko jest to książka gorąca — książka pisana sercem.

JERZY ANDRZEJEWSKI — „WIELKIE PRZYGODY JASIA Z TEMELINA"

Wybitny współczesny prozaik polski urodził się w Warszawie w 1909 roku. Po ukończeniu szkoły średniej wstępuje na Uniwersytet Warszawski i studiuje polonistykę.

W roku 1936 ukazuje się pierwsza jego książka pt. „Drogi nieuniknione". W tymże samym roku otrzymuje „Nagrodę Młodych" Polskiej Akademii Literatury oraz nagrodę tygodnika „Wiadomości Literackie" za powieść „Ład serca".

Okres okupacji spędza w Warszawie biorąc czynny udział w organizowaniu konspiracyjnego życia kulturalnego stolicy. Po wojnie osiada w Krakowie. W latach 1945 — 1947 pełni funkcję prezesa krakowskiego oddziału ZZLP. W roku 1946 otrzymuje nagrodę województwa krakowskiego za tom nowel pt. „Noc", a w roku 1948 nagrodę czasopisma literackiego „Odrodzenie" za powieść „Popiół i diament". Obie te książki miały liczne wydania w kraju i zostały przetłumaczone na wiele języków obcych.

Jerzy Andrzejewski przygotowuje obecnie dla Klubu „Odrodzenia" książkę, która będzie nosiła tytuł: „Wielkie przygody Jasia z Temelina". Oddajmy głos autorowi:

„Ponieważ Redakcji K. O. potrzebna jest notka informacyjna o mojej książce klubowej, śpieszę powiadomić przyszłych czytelników, że powieść, nad którą pracuję, nazywa się „Wielkie przygody Jasia z Temelina". Ten mało współczesny tytuł wskazuje, że autor, pisząc powieść jak najbardziej współczesną i poruszającą szereg politycznych, społecznych i obyczajowych zagadnień dnia dzisiejszego, sięga jednocześnie do starej tradycji romansów-przygód, w których niezwykły wątek, wsparty o rozległe tło obyczajowe, przynosi w ostatecznym rozwiązaniu nagrodę cnotom, a karę występkom.

W zamierzeniu autora „Wielkie przygody Jasia z Temelina" mają być książką sensacyjną fabularnie, lecz skłaniającą do myślenia, zabawną i dramatyczną, krótko mówiąc książką dla młodzieży, dorosłych i starców.

Czy i w jakiej mierze owym ambitnym zamiarom podołam — powiedzą mi o tym za rok czytelnicy, oraz krytycy.

Akcja „Wielkich przygód Jasia z Temelina" jest wielowątkowa, rozgrywa się w różnych miejscach Polski, w różnych środowiskach, a bohaterami wątku zasadniczego są: młoda dziewczyna oraz siedmiu chłopców, którzy pod wodzą Jasia Sikory wykrywają... kogo lub co? to narazie sekret moich młodocianych wspólników".

ALBERT MALTZ — „CZŁOWIEK NA DRODZE"

Albert Maltz urodził się w 1908 roku w Nowym Jorku w ubogiej rodzinie emigrantów z Europy. Po ukończeniu szkoły średniej wstępuje na uniwersytet. Pracę literacką zaczyna w 1932 roku, w okresie największego nasilenia kryzysu gospodarczego w Ameryce. Cała twórczość tego pisarza to zdecydowany protest przeciwko ustrojowi kapitalistycznemu. Dotyczy to zarówno sztuk teatralnych jak „Czarna kopalnia", której tematem jest strajk górników, czy „Pokój świata" — demaskujący kulisy zakłamanej polityki Stanów Zjednoczonych — jak też twórczości powieściowej.

Dorobek powieściowy Maltza stanowią: „Te trzy dni" (tłumaczone na język polski), „Krzyż i strzała", oraz liczne nowele, z których jedna pt. „Najszczęśliwszy człowiek na świecie" uzyskała nagrodę jako najlepsza nowela amerykańska w roku 1938. Maltz jest również autorem szeregu postępowych scenariuszy filmowych, które naraziły go na prześladowania osławionej „Komisji do badania działalności antyamerykańskiej".

Tom zatytułowany „Człowiek na drodze i inne opowiadania" zawiera osiem nowel ukazujących dramatyczny wycinek współczesnej amerykańskiej rzeczywistości. Nowele „Wieczór uroczysty", „Do widzenia", „Gra", „Człowiek w kuźni" i „Człowiek na drodze" malują warunki życia i pracy warstw upośledzonych Ameryki. „Zajście na rogu ulicy", „List ze wsi" i „Strach" poruszają problem murzyński i zagadnienie organizowania się ludzi pracujących w związki zawodowe.

DEKLARACJA

rok 1950

Zgłaszam się na członka Klubu „Odrodzenia" i zobowiązuję się do płacenia abonamentu za książki w kwocie zł. 1.500 rocznie, płatnych po 125 zł miesięcznie lub po 250 zł co drugi miesiąc lub po 750 półrocznie (niepotrzebne skreślić).

Moje prawa i obowiązki są mi znane

Imię i nazwisko .....

Adres .....

.....
(podpis)

Wyciąć, nakleić na kartę pocztową i przesłać pod adresem: Warszawa, Wiejska 16, Klub „Odrodzenia".

Redaktor Naczelny: JERZY BOREJSZA Adres redakcji: Warszawa, ul. Daszyńskiego nr 16, tel. 80-664 i 40-180 wewn 22 — Redakcja przyjmuje od g. 11 do 13. Adres administracji: Warszawa, ul. Daszyńskiego nr 12, tel. 810-26
Drukarnia nr 2 „Czytelnik", Marszałkowska 3/5 Prenumerata miesięczna 100 zł, kwartalna 300 zł — Konto w PKO — I. 4739 B-93935 Wydawca: Spółdzielnia Wydawniczo-Oświatowa „Czytelnik